

**Kunicki Leon**

## **DWÓR I DWORKI**

Szkic do powieści

Rodzicom moim kochanym  
ten Obrazek poświęcam.

Jeżeli bierzesz do ręki kochany czytelniku ten zarys, w nadziei  
ze w zagmatwanej  
jak w niejednym romansie intrydze, znajdziesz powód do  
zaostrzenia twej  
ciekawości, zawiedziesz się mówię ci naprzód jak  
najokropniej.  
Niemniej gdy zechcesz w tym prostym obrazku znaleźć  
średniowiecznego bohatera z  
brzmiącym Edgara lub Edwina imieniem i bohaterkę Ewelinę  
lub Matyldę,  
namiętych, strasznych pełnych miłości wzajemnych  
poświęceń kochanków, różnemi  
przeszkodami od zawistnego losu prześladowanych,  
podobnież powtarzam raz jeszcze,  
że zawód twój będzie okropny. Nie spodziewaj się wreszcie,  
abym rozdział miał wszczynać od czarującego  
wschodu lub zachodu słońca i romantycznych opisów okolic  
włosko - szwajcarskich,  
jak to w wielu naszych chociaż powieściach ma miejsce.  
Rzecz bowiem tego szkicu jest bardzo prostą, pozbawioną  
wszelkiej intrygi a

prowadzoną w okolicach jednego z zakątków kraju naszego, o którym podobno nie bardzo pochlebną masz co do piękności natury opinię, bo na Podlasiu; głównie miałem na celu wprowadzenie na scenę kilku figur, kilku postaci, dawniejszej daty, których liczba coraz się teraz zmniejsza, a których wizerunki nie jednemu z was może na tle z dziecinnego wieku pamiątek, wraz ze starym rodzinnym dworem, żywo jeszcze stoją w pamięci. Zaczynam więc po prostu. W dość smutnej choć przyjemnej okolicy Podlasia leżała wieś zwana Dębową-wólką. Wieś o foremnych z murowanymi kominami i dużymi oknami chałach, z kościołem i karczmą, rozciągała się na wzgórzystym wybrzeżu obszernego jeziora, z jednej strony zarosłego trzcina, z drugiej zaś od strony wsi, czystego i spokojnego jak powierzchnia zwierciadła. Zdała owocowe drzewa ogródków, któremi każda prawie chata była otoczona i lipy wyniosłe ocieniające stary z wysoką blaszaną kopułą kościół, rysowały się na tle nieba w rozmaitych kształtach i odbijały się w spokojnej wodzie jeziora. A krzyże wysmukłe, drewniane, gdzieniegdzie wieńcem zeschniętych kwiatów lub białymi chustami przewiązane, rozciągały swe ramiona po nad polami, na zakrętach dróg, jak gdyby na straży dla obrony plonów od gradu i burzy. Od strony tylko jeziora nieco urozmaiconą i miłą wydawała się okolica, bo z

drugiej po za wsią, rozciągała się pusta równina szarzącym w dali zamknięta lasem.

Po lewej stronie wioski, ulicą topolami wysadzaną od niej oddzielony, stał dwór

pański, obszerny, stary z wysokim o drewnianych filarach gankiem i kilkoma

białymi kominami sterczącymi nad złamanym dawnej struktury dachem; obok niego

stała podobna mu kuchnia, lecz o jednym dymem poczerniałym kominie, z dzwonkiem

przy drzwiach, do której od ganku dworu mocno udeptana prowadziła ścieżka.

Przededworem rozciągał się obszerny dziedziniec z okrągłym trawnikiem otoczonym

brzozowym płotkiem, na prost ganku w drugim końcu dziedzińca stały stodoły z

bocianiami gniazdami, następnie obory, stajnie i stary lamus ze spiczastym o

mosiężnej gałce dachem i gankami, czarny, pochylony, zamykały dziedziniec.

Za dworem wznosiły się topole i lipyodwieczne, obszernego choć nieco opuszczonego ogrodu.

Niezwyczajna czystość i porządek w wygracowanych i żwirem posypanych ścieżkach

dziedzińca, w lśniących szybach okien dworskich, w białości świeżej jego

drewnianych a starych ścian, dziwnie odbijała przy starości dworu; patrząc nań

mimowoli nasuwało się porównanie do staruszka w wykwintne i świeże przyodzianego

stroje. Lecz wejdźmy wewnątrz.

Z sieni w wieńce zbożowe przybranej z ławami i parawanem zasłaniającym schodki

na górę, było troje drzwi: na prawo wiodły do kredensu, na prost i na lewo do pokojów pańskich. Pięć czy sześć pokoi widnych, obszernych, wesołych, składało apartamenta tego starego dworu: między niemi odznaczała się sala ze szklannemi na ogród drzwiami z dużym zegarem na kominie, fortepianem i kilkoma portretami mężczyzn i kobiet w tegoczesnych ubiorach. parę luster po bokach, kanapa jesionowa z czerwonym adamaszkowym pokryciem, przed nią stół wiśniowy, wreszcie krzeselka z tegoż co i kanapa drzewa i tęż pokryte materyą, swą formą dawniejszych sięgały czasów; słowem nie było tam tej elegancyi, tych palisandrów i nic nieznaczących a kosztownych ozdóbek, a natomiast czystość w utrzymaniu tych sprzętów, przytem widny i wesoły pokój coś niezwykle pociągającego nadawały tej bawialni. Pokój jadalny podobnież starej formy zastawiony meblami, ściany miał pokryte familijnemi portretami o postaciach z podgolonemi czuprynami, zawieszystemi wąsami, z tym wyrazem szczeroci i wesela na czerstwych i rumianych twarzach, jakichbyśmy teraz napróżno między żyjącemi szukać chcieli. Minąwszy jeszcze kilka pokoi w których nadzwyczajna czystość wraz z. prostotą meblowania byty połączone, zajdźmy do sypialni gospodarza a tu w ustawionych tu i owdzie sprzętach, poznamy najlepiej duch i usposobienie pana domu.

Pokój dość duży i widny z oknami na ogród wychodzącymi, w jednym jego rogu stało ozdobne z galeryjkami choć stare już łóżko, przykryte czerwoną atlasową kołdrą i kilkoma poduszkami misterną w kwiaty robotą wyhawtowanymi po rogach, nad łóżkiem wisiał w srebrnych a poczerniałych już ramach obraz Matki Boskiej w podobnie srebrnej sukience z dziecięciem na ręku, znać odwieczna pamiątka po przodkach gospodarza, bo twarze na drzewie malowane straciły barwę swego kołorytu i czarną starości pokryły się powłoką. Na przeciwnej ścianie po nad szafką ze szklannymi drzwiami założoną książkami, zawieszono były trofea myśliwskie, złożone z ozdobnej i zgrabnej dubeltówki, kordelasa, trąbki i torby, nad nimi ogromne jelenie rogi rozpościerały gałęziste swe ramiona, na biurku po pod oknem leżało w porządku kilka książek do nabożeństwa starych ze zbutwiało już okładkami, kilka romansów Dumasa, Ulana, Pamiętniki Nieznajomego i kilka dzieł historycznych Wójcickiego, obok tego leżał zapisany papier i materyały piśmienne, dodać jeszcze do tego fajczarnię w rogu, z kilkunastu z ogromnymi bursztynami fajek złożoną, a będziemy mieli wierny obraz sypialni gospodarza. Był nim Staś młody letni Zaledwo chłopak, który rok dopiero jak po śmierci ojca nad dość obszernym z kilku składającym się wiosek folwarkiem, objął

zarządy.

Był wysokiej, szczupłej, zgrabnej postaci; twarz jego młodociana czarnym dopiero na ustach porastająca puszką, zachowała jeszcze ten wyraz swobody i naiwności niemal dziecięcej; na jego wysokim otwartym czole, w jego jasnych dużych szafirowych oczach zdawało się że czytać mógł jego myśli. Włosy ciemne z wdziękiem w pukle zakręcające się około jego białych skroni, cera twarzy nieco blada i delikatna, rysy twarzy regularne lecz drobne, nie dawały mu pozoru męskiej piękności, lecz natomiast rzeczby można ze Staś był ładnym chłopcem, ale ładnym piękną kobietą; mimo to jednak nie chcemy szkalować Stasia malując go papinkowatym, zniewieściałym, broń Boże; "wdał się on swoją urodą jak dwie krople wody w nieboszczkę matkę, Panie świeć nad jej duszą." mawiał stary Walenty sługa domowy, lecz pomimo to nic brakło mu na przymiotach mękości, a naprzód: jeździł uczenie i odważnie konno, i nie obawiał się na najdzikszego wsiąść rumaka, wytrzymałym był na niepogody, lubił polowanie, strzelał dobrze i w fechtowaniu dość był biegłym. Serce czyste, niewinne, dziecięce prawie, pod starannem i może za ostrem trochę wychowaniem ojca, żołnierza, nie było jeszcze zatrute zepsucia oddechem. Nie znał świata i ludzi i zapatrywał się na nich z dobrej ich tylko strony; obłuda,

kłamstwo, brudne czyny świata, były dla niego obcemi, nie  
pojmował ich prawie,  
bo cnotę uważał za powinność, uczucie honoru za droższe nad  
życie, nad wszystko,  
a karcony za młodu od ojca za najmniejsze kłamstwo,  
wzwycaił się mówić zawsze  
to co czuł i myślał, i przyrzeczenie lub dane słowo za świętą  
uważał powinność.

Łagodny, powolny, bez przesady w ruchach i w mowie,  
naiwny i prosty w wyjawianiu  
zdań dalekim był od tej zarozumiałości o sobie, od tej  
pewności siebie tak  
pospolitej w jego wieku indywiduach; słowem Staś było to  
zjawisko rzadkie,  
przykład do naśladowania w zepsutej przedwcześnie zwykle  
młodzieży naszej.

Pobożny nie pojmowałaby wiek młody nadawał mu prawa do  
lekceważenia przepisów religii, dla tego nie  
wstydział się klęczący mówić pacierz rano i wieczór, tak jak od  
małych lat zwykł  
był przed obrazem Matki Boskiej odmawiać, w Niedzielę  
bywać na mszy, zwłaszcza  
gdy kościół miał pod bokiem, i inne od naszej wiary  
wymagane wypełniać  
obowiązki.

Posłuchajmy starego o siwym wąsie i łysej głowie Walentego,  
który swego panicza  
za ideał doskonałości uważa i komu może to prawi: jak to  
bywało za czasów  
nieboszczyka Jegomości, a poznamy sposób wychowania i  
bieg życia Stasia.

— Ho ho jak to bywało panie dobrodzieju — zwykł był  
mawiać Walenty, zażywając

powoli tabakę i podnosząc strzępiastę swe siwe brwi, przez co  
jego łyse czoło na  
wyraziste fałdowało się kresy, — jak to bywało zaraz to  
Aspanu opowiem: oto trza  
bo Aspanu wiedzieć, że nasz Jego-mość ś. p. to byt stary  
żołnierz z czasów Napolijońskich.... był panie Majorem  
ponoś, Otoż gorączka panie jakich mało, wszystko musiało  
być u niego panie  
szarmancko, czysto, świeżo i duchem.... ale przy tem godny  
pan, poczciwy pan...  
ho, ho, jak mało... ta się spytajcie chłopów z naszych wsi  
Semena, Kondrata....  
to oni wam najlepiej powiedzą, oni poszliby panie byli w  
ogień za nim.... otóż  
widzisz Aspan kiedy się nasz panicz kochany urodził, to  
pamiętam jak nam mówił  
nasz nieboszczyk Jegomość uradowany: "Słuchajcie dzieci!  
Pan Bóg mi dai syna,  
rad temu jestem potrzeba nam z niego człowieka nie babę  
wychować co? prawda? i  
zaczął się pamiętam jak dziś śmiać okrutnie głośno tak jak to  
zwyczajnie robił w  
radości jakiej.... tak tedy my jemu z ukłonem odpowiedzieli:  
niechaj się Panu  
Bogu na chwałę, a JW. Panu na pociechę lat starych chowa  
zdrów.... a pamiętam  
wówczas wypiliśmy wina kupe ho kupe! I dziecko rosło  
chwata Bogu zdrowo, chowało się i wyglądało jak rydz, a  
zarazem  
panie mówił pamiętam: "podobniusieńki do JW. Pani jak dwie  
krople wody...." ale  
bach panie przychodzi pewnego razu zmartwienie okrutne,  
nasza Pani, już to

zwyczajnie słabowita, strasznie raz zapadła i Bogu ducha  
oddała.... byżoż to  
lamentu panie byżo! Jegomość myśleliśmy ze zwarzuje, my  
płakalim, ale co  
poradzić!.... Wtenczas to pamiętam przyjechała siostra  
Jegomością z Litwy, co  
już także z Bogiem spoczywa, i zamieszkała przy bracie, bo  
potrzeba było i  
kobiecego trochę starania około dziecka i zarządzenia jakoś  
gospodarstwem  
kobiecem, choć tak jak teraz tak i w tenczas była szafarką pani  
Adamowa. Nasz  
panicz kochany miał dopiero z lat jakie dziesięć, a Jegomość  
już go hartował  
pamiętam: sypiać mu nie kazał ono na twardem, rano i  
wieczór pacierz kłeczący z  
uwagą przy sobie mówić, a jużbył księdza kapelana przyjął, co  
Panicza religii i początkowych nauk uczył...  
Ostro z chłopcem jak zwyczajnie po żołniersku postępował  
Jegomość, choć go  
kochał passyami... konno kazał go uczyć Bartoszowi, a za  
najmniejszą psotę,  
karcił go srogo bywało... Nie raz to a siostra pani Zalewska  
(niech z Bogiem  
spoczywa) ujmowała się za dzieckiem i powstawała  
zwyczajnie na Jegomością, a to  
ze zamęczy biedne dziecko, zabije tym hartem; nic nie  
pomogło, Jegomość  
odpowiadał jej zwykle: Aścka bo byś wychować go chciała na  
gagatka, na babę, a  
ja chcę zęby byżo panie mężczyzną.... Potem kiedy już panicz  
znacznie podrósł,

przyjął był Jegomość dwóch Gubernierów, którzy go różnych  
języków zagranicznych i  
wyższych nauk uczyli, a z każdym dniem panie niezwyčajny  
postęp robił on w  
naukach, a zawsze był z zarównym dla ojca respektem, dla nas  
domowników z  
grzecznością. Kiedyjuż do lat dochodził, odprawił  
Gubernierów Jegomość, a paniczowi po wielu  
rozsądnych panie przestrogach i uwagach, pozwolił pomagać  
sobie w zarządzie  
gospodarskim.... Od tej pory codziennie prawie na koniu  
panicz jeździł, doglądał  
i zdawał po tem ojcu relacyę; ledwo ze mu czasem Jegomość  
wyjechać w sąsiedztwo  
pозwolił, a strzegł strasznie i uważał towarzystwa młodych  
szczególniej, z  
któremi panicz zawierał znajomości, bo mówił często: ze nic  
panie tak prędko nie  
zepsuje młodego, jak zła kompanja... Wieczorami jeżeli kogo  
nie było z  
sąsiedztwa (a bywała zawsze prawie massą gości), to  
poczciwy nasz panicz po  
dziejnej pracy musiał jeszcze czytać rozumne książki i pisać  
swoje uwagi.... ale  
nadeszła nareszcie chwila straszna dla panicza i dla nas,  
którzyśmy do Jegomości  
byli tak przywiązani, zachorzał pewnego razu nasz starszy Pan  
i Bogu ducha  
oddał.... A pamiętam jakgdyby to dziś było, choć to temu już  
rok drugi, staliśmy około łóżka  
Jegomościwego, ja, pani Adamowa, panna Scholastyka co  
mieszka na dworkach na

wsi, pan Kapitan i Bartosz, panicz klęczał przy łożu w nogach szlochając, a Jegomość cichym już głosem, z obrazem Matki Boskiej w ręku, tym co to wisi w sypialnym pokoju panicza, dawał ostatnie przestrogi synowi i żegnał go i nas razem. Płaczu było i lamentu nie mało, to Aspan łatwo możesz się domyśleć i teraz jeszcze jak sobie wspomnę to mi się łzy w oczach kręcą".... i na tem zwykle kończył swe opowiadanie Walenty, i łzę rękawem ocierał.

Podobne odebrawszy wychowanie Staś do roku życia, przechował się jak rozwijający się pączek róż)', w całej swej świeżości i krasie: czy go robak zepsucia zawczasie nie stoczy, o tem trudno zaręczyć, wiek bowiem Stasia tak jest skłonny do odmian, charakter nie wyrobiony, zasady nie ustalone, tak łatwo w tę lub ową przechylić się mogą stronę.

Jeden krok w zgubne, naganne towarzystwo, a nieświadomemu świata i ludzi jak Staś młodzieńcowi, łatwo zatrze niewinność z jego czoła, zagłuszy w nim ziarno cnoty z mozołem przez rodziców wszczepione.

Na szczęście przyjaciółmi jego dotychczasowymi, było kilku młodych, podobne do 'niego wiodących życie i podobnych jemu zasad zwolenników. Kończąc ten powierzchowny Stasia obrazek, dodać jeszcze potrzeba, że co do wyobrażeń o miłości, bo któż o niej w jego wieku nie marzy, utworzył on był w

swej głowie ideał, który pieścił, do którego wzdychał, a którego może nie spodziewał się znaleźć, bo dotychczas widziane okoliczne piękności, ani troszkę nie były zbliżone do tego wymarzonego przezeń obrazu. Drugi to rok dopiero jak z pod ojcowskiej wyszedłszy opieki, zarządzał jak już mówiliśmy majątkiem nie wielkim lecz dorobnym; otoczonym był nadto kilkoma staremi indywiduami, wiernymi sługami dworu i rezydentami, którzy razem wszyscy jak duchy opiekuńcze nad nim czuwali. Stary Walenty któregośmy już z jego opowiadania trochę poznali, starzec przeszło -letni, o dużej łysej głowie, ozdobionej siwymi wąsami, o wyrazie twarzy trochę surowym lecz pełnym poczciwości i otwartości, całym sercem i duszą przywiązany był do panicza, do dworu, gdzie już przebył kilka lat dziesiątków. Dla ukochanego panicza poszedłby on w ogień, życie by dał za niego, bo panicz w jego oczach był ideałem, postępowanie młodego Pana było tak zgodne z maksymami starego! podziwiał jego pobożność w tym wieku, skromność, obejście się; dlatego też kogo mógł złapać, to mu zaraz o paniczu powiedział i o tym jak to bywało za cza-sów nieboszczyka Jegomości, a trzeba także wiedzieć, że jako stary lubił gawędę.

— Aby się ono panie nie zepsuło, — mawiał często zażywając powoli tabakę i podnosząc swe brwi strzępiaste.

Ubraniem jego była zwykle, siwa długa kapota ze świecącymi guzikami i buty ze

sztylpami.

Jakkolwiek młody panicz poufale z nim zawsze rozmawiał  
gdy mu rano śniadanie  
zastawiał, lub gdy mu do obiadu usługiwał, Walenty jednakże  
z wielkim respektem,  
prostował się zawsze przed nim, rozkazy jego jak  
najakuratniej wypełniał, i w  
ważnych tylko okolicznościach z perorą lub nauką wyjeżdżał.  
Nagany o opieszałość w służbie Walenty nie usłyszał od  
nieboszczyka Jegomości  
ani też od panicza, ho, ho, za punkt honoru to uważał i chwalił  
się z tem nie  
raz, bo też wszystko szło u niego jak w zegar-ku przez  
nałogowe nawyknięcie do jednych i tychże samych  
zatrudnień.

Budził go w kredensie raniutko zegar z kukułką, zaczynał  
stary odmawiać  
pacierze, zamiatając i okurzając pokoje, potem przynosił kawę  
przez panią  
Adamowę w garderobie przyrządzoną paniczowi, stawiał ją na  
stole i powracał do  
drzwi, gdzie w pokornej zwykle stawał postawie. Sam nigdy  
mówić nie zaczynał,  
dopiero zapytany od panicza czasem się rozgawędził.

Pozartował z nim też często  
panicz, aż się stary roześmiać musiał ki, ki, ki. Przy obiedzie  
podobnie  
usługiwał z powagą i uszanowaniem, wieczorem gdy już  
ukończył wszystkie swoje  
prace, a panicz po powrocie z pola, z polowania lub  
sąsiedztwa, czytał lub pisał  
w swym pokoju, stary siedział w kredensie, śpiewał nabożne  
pieśni, lub też

poszedł do pani Adamowej na gawędę. Pani Adamowa albo inaczej Woliński, jak ją nazywał panicz, był to drugi egzemplarz starej i przywiązanej sługi.

Lat przeszło czterdziestu, otyła, o rumiannych policzkach, ruchawą nadzwyczaj, nadzwyczaj podobnie była przywiązaną do Panicza i do dworu, gdzie oddawna obowiązek szafarki pełniła. Głos jej dyszkantowy, donośny, słycać było na drugim rogu domu, gdy łajała baby pod jej zostające komendą, a gderała i łajała często, wzwyczała się do tego powoli, nad niesfornemi jak mawiała sługami i gniewność ta, wsiąkla prawie w jej obejście się z każdym a nawet z Paniczem.

Twarz zawsze serjo, rzadko bardzo w chwilach chyba bardzo dobrego humoru, rozjaśniała się uśmiechem i wtenczas widoczne były dwa rzędy popruchniałych i pokrzywionych jak wieże bolońskie zębów. Strój jej nie zawsze był zupełnie kobiecym, bo na słoć i zimno ubierała się w długie męzkie buty kozuch prosty barani i mruczac sobie co mi tam ! biegła zwawo po błocie lub śniegu na folwark, do kurników, do chlewików, sama rozsypując ziarno dla drobiu, wołając przenikliwie tiu, tiu, tiu; na lamus czarny po jego popruchniałych gankach, do serów biegła po schodach z nadzwyczajną szybkością. Śmiał się z niej nieraz Panicz, z jej stroju, mitygował w jej passyi gdy nie raz porwawszy

harap wiszący w garderobie nad jej łóżkiem, biegła za babami odgrażając się.

Zawsze coś prawie znalazła do nagany, zrzędziła sama na siebie, chowała

wszystko, zamykała, narzekała na nadzwyczajne expensa, gdy była w złym humorze;

i Paniczowi się nierzadko co od Woliński usłyszeć zdarzyło, jak np. "Już to

swawola jak Boga kocham, zęby aptyczkie Pan darmo trzymał dla tych chamów i

wydawać kazał bezpłatnie, ciekawa jezdem" a było to jej przysłowie, albo: "czy

tez to słychane rzeczy, zęby Pan był takilowany i nie wypędził choć z raz tych chamów, co zawsze z jakąś proźbą przyłażą"

albo tez czasem gdy Panicz po powrocie z polowania z dobrym apetytem, prosił

Woliński o przygotowanie mu przekąski, a gdy na jej zły humor trafił, odpowiadała

gniewnie: "tak! ciekawa jezdem zkąd wezmę, nie mam nic, gdzie ja tam będę

dziesięć razy do jedzenia przyrządzać, obiad był nie dawno" pomimo to jednak

gawędząc sama z sobą, przynosiła przekąskę.

Mitygował ją czasem i Walenty, ujmując się za Paniczem szczególnie, to i

Walentemu tak się odcięła, że później ze trzy dni nie częstowali się tabaką i

nic nie gadali do siebie, a Panicz śmiał się tylko w duchu; bo znał grunt

poczciwy i przywiązanie pani Adamowej.

Ale bo tez pomimo tego gderania, pani Adamowa sama zawsze przyrządzała kawę z

kożuszkami, które Panicz lubił, i piekłamu zawsze dobre sucharki, dysponowała leguminki, i zносиła ze spiżarni konfiturki.

Jej mieszkaniem była garderoba, gdzie był komin do grzania kawy, gdzie stało jej łóżko, ściany obrazkami świętych były pooblepiane, a w oknach gile i szczygły w klatkach, które lubiła, odzywały się różnemi głosy. Stara Małgosia co kawę gotowała w garderobie i pomagała pani Adamowej, a co nie mało zawsze słuchać łajañ musiała, choć już z większą jak dla kogo innego udzielanych względnością, bo dla jej wieku; chłopak do pomocy Walentemu, składali cały poczet domowych tego dworu, nie wyłączając także starej kucharki w kuchni, i Macieja wásale furmana.II.

Na wsi, w pobliżu kościoła i plebanii, od strony ulicy topolowej oddzielającej wieś od dworu, stało rzędem kilka drewnianych, pobielonych ze słomiannemi dachami dworków, i tę część wioski zwano białemi dworkami. Różniły się one od chat wieśniaczych, ganeczkami na drewnianych słupach wspartemi, i dużemi oknami, różnokolorowemi, opatrzonych okiennicami; przy każdym z nich dziedzińczyk i małe zabudowania gospodarskie, ogródki owocowe i warzywne razem, z tyłu domu, i gołębniki gdzieniegdzie, na biało malowane. Obejrzyjmy z kolei pierwszy, zaczynający wieś od strony topolowej ulicy.

Ten zdawał się być najporządniejszym z liczby innych, w tej samej za nim ciągnących się linii: był bowiem obszerny, z dużym murowanym kominem, ze strzechą mchem obrosłą lecz całą, z ganeczkiem na dwóch filarach drewnianych wspartym, na którego froncie wyrżnięty był krzyżyk, a ściany jego były bielsze od innych, i w oknach o czystych i całych szybach, widzieć było można białe firanki i geranium w wazonikach; okiennice na zielony, jasny kolor pomalowane, powycinane miały na środku półksiężycę i słońca. Dziedzińczyk ze stajenką, obórką i chlewkiem, gołębnikiem i studnią z żorawiem, otoczony był sztachetami z niewielką bramką. Wewnątrz, z sionki małej na lewo, gdzie prowadziły drzwi jednotaflowe z prostą naciskającą się żelazną klamką, wchodziło się do obszernej i widnej o trzech oknach izby z belkowanym sufitem: piec taflowy z zieloną polewą, stał w jednym rogu, przy nim kominek, latem zwyczajnie drewnianą, pobielaną z gałką zatykany zasuwa, przed oknem kanapa odwieczna jesionowa z pokrowcem niemniej starym i wysiedzianym, przed nią stół wiśniowy o jednej nodze okrągły, dalej komoda, na niej filiżanki, imbryk, samowar i cukierniczka cynowa, następnie stół i krzeselka, w oknach jak powiedzieliśmy geranium, lak i inne pospolite lecz z własnego ogródka rośliny w wazonikach, na

ścianie zegar z kukułką i kilka lanszaftów przedstawiających bitwy Napoleona, i portrety: Kropińskiego, Karpińskiego, Poniatowskiego; za ramą lustra dość już popstrzonego, między oknami zawieszzonego, pozatykano mnóstwo biletów z różnych lat z powinszowaniem imienin i Nowego roku, z aniołkami, gorejącemisercami i strzałami, z podobnemi kaźden prawie u spodu rymami jak np.

Wszystkie me chęci wszystkie wspomnienia  
Tobie załączam w dowód życzenia.

Albo:

Żyj sto lat bez trosko w, goryczy  
Tego ci twój przyjaciel życzy.

Drzwi otwarta do drugiej mniejszej nieco izby, dawały widzieć biało zasłane łożko, z mnóstwem obrazków, krzyżyków palm i gromnic na ścianach dokoła, przy łożu stał stolik czarny, na nim leżały książki do nabożeństwa rozmaitych kształtów i druków, okulary często znać używane, bo na rozwartej rozłożone książce, kilka talii kart zatłuszczonych, ogranych, butelka napełniona wodą i kwiatem bławatnim, szyjki gęsie z grzechotkami, poduszeczki na szpilki i inne do kobiecych robót potrzebne graciki, dawały od razu poznać, że ta skromna siedziba jest mieszkaniem kobiecem. Istotnie było to mieszkanie panny Scholastyki, tak ją bowiem zwano powszechnie,

sześćdziesięcioletniej przeszło matrony, dalekiej krewnej  
nieboszczyka  
Jegomości, ojca Stasia, która mały swój z tysięcy składający  
się kapitałik,  
ulożowała w dobrej wierze u dziedzica Dębowej-wólki, a  
sama żyła z procentu,  
żądając tylko dworku, gdzieby przy kościele i przy swoich,  
spokojnie ostatki  
żywota trawiła.  
Proponowano jej mieszkanie we dworze gdzieby kilka  
porządniejszych i  
wygodniejszych zajmować mogła pokoi, ciocia Scholastyka  
koniecznie prosiła o  
osobny dworek, choćby chatę, gdzieby sama gospodarzyć  
mogła, bo gospodarstwo  
było je namiętnością.  
Ciocia Scholastyka była wysoka, szczupła, rysy twarzy  
jakkolwiek już starością  
pokrzywione, dolna warga przykrywająca wierzchnią dla  
braku zębów, aż do nosa  
dochodziła, szczególnie też gdy  
jadła, nasuwały jednak myśl, że będąc młodą, nie musiała być  
szpetną, oczy miała  
jeszcze żywe i duie, chociaż zwrok już osłabiony nie mógł się  
obejść bez  
okularów w czasie czytania, i jakkolwiek codziennie  
przemywała oczy wodą z  
kwiatem bławatnim, w butelce na oknie stojącą.... Głos miała  
jeszcze mocny,  
cienki, chociaż chropawy, ubierała się zawsze z największą  
czystością,  
staraniem, a nawet można powiedzieć niekiedy z pretensją  
może nie właściwą jej

wiekowi. Mowna była nadzwyczaj, każdego nazywała  
Acanem i gdy dotknięto słabej  
strony jej wspomnień i pamiątek, wówczas była w stanie  
prawić ci dwie godziny  
bez przerwy o dawnych zwyczajach, powtarzając często: "co  
żem chciała  
powiedzieć" a wspomnienia jej najczęściej sięgały czasów  
Stanisława Augusta.

Nabożna, codziennie prawie na mszy, a w Niedziele i święta,  
ani słota, ani zimno

nie wstrzymywały jej, chociaż często ren-matyzmy cierpiała.  
Śpiewała w poście gorzkie żale, w Nowy Rok kolendy,  
jednakże

wieczorami podczas świeżych, letnich, miesięcznych nocy,  
przy otwartych oknach

dworku, słyszeć było można: Już miesiąc zajszed, albo:

Wyjszła Filisz do ogrodu,

sykając za każdym S, dla braku zębów.

Najgłówniejszym odcieniem jej usposobienia, była manja  
namiętna gospodarowania i

jak powiedzieliśmy, za warunek główny pobytu jej w

Dębowej-wólce, położyła mieć

własny swój domek.

Jakoż urządziła go po swojemu, przyjęła Kachnę wiejską  
dziewczynę do posługi i

kuchni, trzymała krów kilka, kilka sztuk nierogaczny, drobiu,  
parę koni do

zółtej, odwiecznej karjolki na resorach, do której znów

umyślnie, Hrycia parobka

jej dodano; wszędzie sama doglądała, aby wszystko było w  
porządku, własnymi

niemal rękami uprawiała swój ogródek, robiła masło i sery i na  
odpuście każdym, w swoim lub z sąsiednich kościołów,  
Kachnę i  
Hrycia z naładowanym masłem i serami, wysyłała wozem,  
latem spieniężała  
podobnież owoce, ze swego ogródka, zbywające od potrzeb. A  
musztrowała i gderała  
często na Kachnę, na Hrycia, na baby które do roboty  
najmowała, wnikała w ich  
plotki, nudziła i ciągle narzekała na ich niedbalstwo i  
opieszalność w "pracy.  
Cały dzień bywało od samego rana krząta się jak gdyby miała  
Bóg wie jaką robotę,  
tu zajrzy a gawędzi: "A to Kachna cożem chciała powiedzieć,  
to tyło ono zęby  
wyszczorza a nie pilnuje," to tam postoi i nagderze: "Paraska i  
Hana to  
mondrele, wam jeno spać abo dziwować się a nie robić" i t. d.  
Niemniej od Walentego i pani Adamowej przywiązana była  
do Stasia, który ją  
kochaną zwał Ciotunią, kochała go i wychwalała przed kim  
mogła jego cnoty, co-dziennie prawie odwiedzała dwór,  
pieszo jeśli pogoda, karyolką gdy śłota,  
wypytujac się aż do znudzenia o zdrowie Stasia; w Niedzielę  
zaś jak to oddawna  
był zwyczaj, zwykła była we dworze znajdować się na  
obiedzie  
Dworek drugi za panny Scholastyki dworkiem o kilkanaście  
położony kroków, co do  
struktury nie różnił się od pierwszego, chyba tem tylko, ze  
okiennice jego nie  
były pomalowane; takież sam ganek z jednej i z drugiej strony,  
dziedzińczyk i

zabudowania gospodarskie, jednakże we wszystkim znać  
było mniejszą dbałość o  
czystość i porządek zewnętrzny: ogródek za nim opuszczony i  
zarosły, stajenka  
pochylona, oborka z odartym dachem, szyby u okien  
potłuczone i papierem gdzie  
niegdzie zalepione i wrota dziedzińca obalone.  
Wnętrze izby tego dworku podobnie różniło się od  
pierwszego, bowiem jakkolwiek podobne i w tę samą stronę,  
wiodły drzwi do dużej i widnej z belkowanym  
sufitem izby, tak co do sprzętów jak i ich uporządkowania,  
znaczna zachodziła  
różnica; w tejże samej bowiem izbie, której drzwi do drugiej  
były zaparte, stało  
łóżko stare, poczerńiałe bez ozdób, nie zupełnie elegancką  
zasłane kołdrą i  
poduszką skórzaną, nad niem były zawieszony gromnica i  
krzyżyk drewniany, dalej  
gitara na spłowiałej niebieskiej wstążce, przy łożu stół prosty  
dębowy, na nim  
tabakierka z brzoźowej kory z rzemyczkiem, butelki z  
prochem, porozrzucany śrót  
i pistony, a na gołej żadnym obrazkiem nie przystrojonej  
przeciwległej ścianie,  
wisiała dubeltówka z torbą borsuczą. W rogu izby jakiś  
kredens stary, zastawiony  
talerzami i szklankami, i zegar stojący, odwieczny, zakurzony,  
wiecznie  
wskazujący -ą godzinę, całe składały umeblowanie; dodać  
jeszcze piec pobielany  
na którym mnóstwo leżało kłaków i komin kociubą zatknięty, z  
różkami od prochu na gzemsie; słowem,  
w tej stancyjce kawalerski jak to mówią panował nieład.

Istotnie mieszkańcem tego dworku, tej izdebki, był stary kawaler pan Wawrzyniec wieku podobnego do jego sąsiadki, którego powszechnie Kapitanem zwano.

Pan Wawrzyniec był niski, krępy, ruchawy, dość otyły, twarzy rumianej ozdobionej

półksiężycowemi blond faworytami; podobnymże prawem co i panna Scholastyka

siedział on we dworku, z tą różnicą, że już od bardzo dawna, jako rezydent,

ulołowawszy mniejszą cokolwiek, od panny Scholastyki sumkę i przywiązawszy się

nałogowo do dworu.

Polubił go był nieboszczyk Jegomość, bo pan Kapitan był zawsze wesołym,

śpiewającym, krotofilnym; raz zatrzymawszy go przy sobie, przylgnął był pan

Wawrzy-niec ni ztąd ni zowąd i został miejscowym rezydentem.

Służył on pono jak sam twierdził w wojsku i raz przezwany Kapitanem, chrzczonym

był od wszystkich tym nazwiskiem. Zresztą był to najpocześniejszy w świecie

człowiek, chodził zwyczajnie w granatowej czamarze z potrzebami i czapeczce z

barankiem, przyjacielskim był i ochoczym do zabaw, a polowanie lubił namiętnie.

Adorator za młodu płci pięknej i wisus urwipołec jak sam nieraz o sobie zwykł

był mawiać, zachował aż dotychczas grzeczność nadzwyczajną dla dam, umiał im

pochlebne prawić dusery i tem powabnem, dworskiem prawie ułożeniem, zjednał

sobie pochlebną u dam okolicznych opinię. Jedną tylko  
nieszczęsną wadą Kapitana  
było, bo i któż bez nich nie jest, że jakkolwiek surowy w  
zdaniach co do  
obyczajów względem siebie i drugich, i nabożny jak  
zwyczajnie starzy, to jednak  
gdy mu się gratkaprzytrafiła z dawnymi gdzieś koleżkami na  
jarmarku się zjechać, to uraczył się  
winem tak, że Janek jego chłopak do posługi, martwego  
prawie na wózku do domu  
przywoził. Odchorował zwykle taką hulankę pan Kapitan,  
jednakże chętnie znów  
przy pierwszej lepszej sposobności toż samo czynił.  
Niemniej przywiązanym był do dworu i kochał Stasia,  
polował z nim często, a sam  
prawie codziennie, wychodził na kaczki, to na bekasy, to na  
zające i tak był  
zawsze polowaniem przejęty, że każdego bawił opowiadaniem  
swych przygód  
myśliwskich.  
Stołował się u siebie i jeździł po sąsiadach, gdzie pana  
Kapitana wesołego,  
zawsze chętnie przyjmowano.  
Trzeci dworek graniczący z pana Kapitana dworkiem, a  
ostatni od plebanii  
zupełnie był prawic co do dwóch drugich, ze struktury  
podobnym, tylko bardziej  
ściany jego były popaczone i dach bardziej mchem porośły, a  
na dziedzińcu stała tylko  
pochylona, waląca się stajenka.  
Wnętrze izdebki podobnej co do wielkości do dwóch  
pierwszych, zajmowało stare o

żelaznych prętach łoże, z gromnicą i palmą nad niem, zasłane  
białą flanelową  
kołdrą, duży kufer przy łożu, na kołku kalendarz i nożyce koło  
okna, na czarnym  
stole kilka ksiąg do zapisywania pańszczyzny, obok kilka  
stołków i ława, kilka  
lasek różnego kształtu, a na kołku harapnik; na drzwiach kredą  
napisane zawsze  
wyczytać było można jak np.  
Harasym..... fur siana.  
Prokop ..... korzec pszenicy.  
Borysiuk ..... ćwierć owsa i t. d.  
znać długi od chłopków, którym poczciwy Panicz pożyczał w  
potrzebie. Mieszkańcem  
tego dworku był stary, bo przeszło -letni Bartosz. Jakkolwiek  
wiek go już  
pochylił, starał się jednak zawsze prosto-wać i głowę do góry  
nosić. Był wysoki i chudy, twarz jego nosiła cechę zdrowia i  
czerstwości, przytem napiętnowaną być się zdawała prawie  
zawsze wyrazem  
nieukontentowania i gniewu; wąsiki siwe prostopadle z pod  
orlego wystawały nosa;  
oczy siwe pod strzępiastymi i zmarszczonemi brwiami,  
zawsze i wszędzie zdawały  
się gniewnym patrzeć wyrazem; głos gruby i donośny, zdania  
prosto i bez ogródki  
wyjawiane, lakonizm w odpowiedziach tak albo nie, to były  
główne cechy tego  
starego, a tak szanownego oryginalnością typu indywiduum.  
Strój jego składał się  
zwykle latem, ze spancerka płóciennego, takichże  
szarawarów, i kapelusza

słomianego o dużym rondzie z niebieską wstążką; zimą z prostego kozucha, grubych z długimi cholewami butów i kaszkietu baraniego z uszami.

Mówił mało, a wesołym i uśmiechającym się nikt go jeszcze nie widział. Jego życiem, jego żywiołem była rola, gospodarstwo. Przyzwyczał się od tak dawna do tych pól i uroczysk, o których czasem w rzadkich chwilach nadzwyczaj dobrego humoru tak przed każdym mówił, jak gdyby je każdy z nazwiska znał doskonale.

Przyzwyczał się i przywiązał do Pana, ukochał Panicza jak wierny i poczciwy sługa i służył im nie za pieniądze, nie dla swego interesu, lecz z przywiązania do swoich Panów i z zamiłowania do roli.

Słyszałem raz pewnego obywatela, klasyfikującego ekonomów na trzy kategorie, to jest tych: ) którzy li tylko dla siebie pracują, a nie dla pana; ) tych którzy

pracują dla siebie i dla pana; ) wreszcie tych którzy ani dla siebie ani dla

pana nic dobrego nie robią, czyli opieszłych i leniuchów. Jeżeli byśmy Bartosza chcieli pod jaką kategorię umieścić, musielibyśmy nową, a

rzadką bardzo utworzyć klasyfikację. J. tych którzy jedynie dla pana pracują, bo istotnie takim był Bartosz.

Umiał też go cenić nieboszczyk Jegomość, oceniał go młody Panicz, lubili go

wieśniacy i jakkolwiek niejednego nastraszył wiszącym w swej izdebce na kółku

harapem, to jednak słuchali jego groźnego upomnienia więcej, aniżeli gdyby ich

kto inny, istotnie razami kańczuga poczęstował. Ze mu  
zawierzyć było można  
tysiące a grosza by sobie nie schował, przekonany był o tem  
aż nadto Panicz,  
jednakże jedną miał wadę stary Bartosz, a tą była, że był  
zabitym i niczem  
nieprzekonanym gospodarzem starej daty: nie wierzył on w  
systemata Thaera i  
innych nowej szkoły agronomów i ulepszenia i ułatwienia  
jakie w gospodarstwie  
teraz cywilizacya wieku naszego poczyniła, uważał za  
dziwactwo, słowem ze zraz  
powziętej rutyny nic go sprowadzić nie mogło. Wiedział że na  
Smolarzach trzeba  
ugorować, naPieńkach siać pszenicę, na Złotowszczyźnie żyto  
i nic więcej. I nie raz z  
trudnością przyszło Stasiowi nakłonić go, ażeby jakąś  
odmianę lub ulepszenie  
wyczytane w dziełach gospodarskich, do skutku doprowadzić.  
Przekonać go niktby  
tego nie dokazał, wykonywał więc to mrużąc: „na licha sic to  
przydało”  
wykonywał dla tego tylko, że mu Panicz kazał.  
Tacy to byli mieszkańcy dworków, ich życie zawsze jednym  
trybem płynęło  
spokojnie, regularnie; każdy właściwą zajęty był czynnością:  
ciocia Scholastyka  
gospodarowała, łajała baby, wnikała w ich plotki, i modliła  
się; pan Kapitan  
polował sam lub ze Stasiem i jeździł po sąsiedztwach; Bartosz  
cały dzień od  
świtu do nocy, doglądał gospodarstwa pieszo lub konno,  
zamykał, rachował i

codziennie wieczorem Stasiowi, tak jak niegdyś Jegomości  
zdawał relacje i  
odbierał dyspozycje. A w Niedzielę i święta prawdziwie  
budującym był widok tych starców zgromadzonych  
w kościele wraz ze swym Paniczem i zanoszących przykładnie  
modły do Boga.

Gdy rozszedł się odgłos wielkiego dzwonu zwołującego na  
summę, czy w pogodę lub  
słotę, wyruszało dworskowe towarzystwo do kościoła. Ciocia  
Scholastyka w  
świętecznym czepeczku, w chustce w palmy, z ogromnym  
workiem włóczkowym z  
klamrą, na ręku, podpierając się laseczką, ciągnęła powoli do  
kościoła, dawszy  
wprzód kilka napomnień donośnym głosem Kadmie i babom,  
kończących się zwykle aż  
na dziedzińcu.

Pan Kapitan w nankinowych najczęściej pantalonach,  
uprzywilejowanych od święta  
lub od wyjazdu w sąsiedztwo, w nowej czamarce granatowej z  
potrzebami, z włosami  
na twarz zaczesanemi i wymuskanemi faworytami, czapeczkę  
z barankiem nasa-dziwszy z fantazją, z laseczką opatrzoną u  
wierzchu toporkiem, drobniutkim  
postępował krokiem. Stary Bartosz w szarej długiej kapocie i  
w czapce z lisiem  
futerkiem, o kiju sękatym w ręku, podobnie w tęże ciągnął  
stronę. A ze dworu  
przybywał zwykle Panicz, czasem i Walenty i pani Adamowa  
w ogromnym czepcu, ze  
szlarkami i czerwonymi kokardami i salopce wysarzanej; a w  
czasie mszy całe to

grono sadowiło się w ławkach i starzy modlili się z ksiązek nabożnie, śpiewając różnemi głosy różańce, gorzkie żale lub kolendy stosownie do pory, potem całowali patynę i rozchodzili się do domostw. Kapitan tylko prawie zawsze ściągał do plebanii, gdzie anyżówką księdza Proboszcza, pokrzepiał wycieńczonego nabożeństwem ducha.

Ciocia Scholastyka powracała do swego dworku, gdzie ogarnąwszy się i dawszy kilka rozporządzeń Kachnie, udawała się na obiad do dworu, dowiedzieć się zarazem o zdrowiu ukochanego Stasia, o które nie wypadało jej w kościele dowiadywać się zaraz na wstępie tysiącznemi obsypywała go pytaniami: "Kochany Stasieczek czy nie słaby? może głowa boli? cóżem chciała powiedzieć.... na głowę bym miała lekarstwo.... może katar co? co duszko?" "Nić Ciotuniu, dziękuję za starania jakimi mnie obsypujesz," odpowiadał z uprzejmym uśmiechem Staś i całował ją w zeszlą rączkę. Po anyżówce z plebanii nadciągał wkrótce i Kapitan, awczasie obiadu, żywa zwykle, bogata we wspomnienia następowała rozmowa. Pan Kapitan sprzeciwiał się Cioci przywołując niektóre fakta z jej młodości, z czasów wejścia Francuzów, na co z uśmiechem odpowiadała Ciocia: "co było a nie jest nie pisze się w rejestr;" groziła mu figlarnie palcem, pół żartobliwie, pół cicho

powtarzając: "cicho byś ot Acan był i nie psuł mi kochanego dziecka. "Pan Kapitan następnie predykował ciągle i wpada! w sztos opowiadań myśliwskich swych przygód. Stasia jako myśliwego bawiły te opowiadania, Ciocia Scholastyka uważała je za nudne i nie raz przerywała z niecierpliwością jego myśliwski entuzjazm: "Et co tam, lepiejbyś Acan co innego prawił, nie zawsze te tam, cozem chciała powiedzieć, polowanie w głowie," a sama biedaczka znów nie wiedziała, że najczęściej także lubiła gwarzyć o swem gospodarstwie, i o plotkach które między jej babami krążyły....

W Niedzielę i święta uroczyste, w długie szczególnie jesienne lub zimowe wieczory, bywały zebrania we dworach i gawędy przy kominkowym ogniu, ożywiane co moment tabaką i herbatą na syczącym przyrządzaną samowarze. Już to u panny Scholastyki zbierano się zwyczajnie, na ulubionego ćwika. Ogień huczał na kominie, w izdebce namznanej pierwszego dworku, dwie łojowe świece w cynowych lichtarzach stały zapalone na przykrytym zielonym sukniem stole, na którym dwie talje zatłuszczonych kart leżało. Ciocia Scholastyka w oczekiwaniu na gości, siedziała w świątecznych strojach przed kominkiem i wieczorne odmawiała na pamięć modlitwy, przerywając co moment swój pacierz, którego pierwsze słowa z każdym oddechem głośniejszym wymawiała, wykrzyknikami na Kachnę przyrządzającą szklanki i

samowar; i tak np. "teraz i zawsze i na wieki wieków Amen....  
Nieszczęśliwa moja  
godzina, Kachna nie guzdrajze się tak, a prędzej  
przyrzadzaj.... Zdrowaś Marya  
łaskiś pełna.... ho wam to ono tylko, cożem chciała  
powiedzieć, zęby wyszczerzać  
i spać tak samo jak Paraska... łaskiś pełna Pan z tobą.... i t. d.  
Szósta bije na zegarze z kukułką, zamieć na dworze i wiatr  
huczy w szybach przez  
szpary okiennic, jednakie z ostatniemprawie uderzeniem  
zegaru, wchodzi drobniutkim krokiem, z laseczką, pan.  
Kapitan,  
a naprzód na progu zamykając drzwi, nosa utrze, polem  
stawiając swą laskę z  
toporkiem, pośpiesza ucałować rączkę starej panny, mówiąc z  
przymileniem: "Dobry  
wieczór Jejmości." "Dobry wieczór Acanu, a co tam na  
dworze?" "Zapaskudziło się  
moja Mościa Dobrodziko jeszcze bardziej. ule ja z tego rad  
(zacierając ręce i  
chodząc spieszenie po pokoju), bo jutro jak znalazł  
zmiarkowawszy ponowę.... ale  
wystaw też sobie Jejmość Dobrodzika, co też mi się wczoraj  
na polowaniu  
zdarzyło... Ciocia Scholastyka zrobiła poruszenie  
nieukontentowania, jednakie  
przez respekt dla gościa, zwłaszcza ze to jeszcze było na  
początku wizyty,  
słuchać go postanowiła z cierpliwością: "otóż idę sobie, mówił  
dalej Kapitan nie  
zważając na to jej poruszenie.... panie tędy do Wilczej ohoży  
dróżką co wiedzie

przez Smolarzowe, alepewnie Jejmość Dóbr. tam i nie była, to  
nie ma co.... otóż zmiarkowawszy, to  
Bartosz będzie wiedział najlepiej, tak dopiero idę sobie panie,  
aż tu coś zahurg  
otało między liśćmi tak o jakie kroków, aż tu patrzę panie  
sadzi kot, ale kot  
panie co się nazywa, ja panie paf z jednej, paf z drugiej lufy,  
zając przykucnął  
i siedzi, wystaw sobie Jejmość Dobrodzika, jak pies na  
zadnich łapach, ja do  
niego zmiarkowawszy przybiegam i chcę już za słuchy złapać,  
len jak mi się panie  
wymknie, jak nie pójdzie zmiarkowawszy....  
— Nie wiem jak się to Acanu nie znudzi tak ciągle jeno  
polować....  
Wchodzi Bartosz z miną ponurą jak zwykle i przy drzwiach  
"Padam do nóżek  
Jejmości" z ukłonem, grubym przemawia głosem; przed nim  
pan Kapitan powtarza  
dopiero opowiedziane zdarzenie, z wielkiem  
nieukontentowaniem panny Scholastyki,  
Bartosz na zapytania odpowiada, tu kiwnięciem głowy, tam  
wręcz abo ja wiem powtórzy, i rzadko sam nie zapytany się  
odezwie: lecz czasem gdy się rozochoci przy szklance gorącej  
herbaty, to im  
prawi  
o uroczyskach, o polach, o gospodarstwie, panna Scholastyka  
znów o Parasce,  
Hapie  
i o swoim dworku, słowem każdy prawił o tem co lubił i nie  
raz dziwił się  
opowiadający z tych trzech osób, ze go dwie pozostałe nie z  
zajęciem słuchały.

Nie rzadko jednakże i dawnych czasów wspomnienia, były  
osnową wieczornych gawęd;  
wówczas każdy coś swego dodawał, lub opowiadał, a  
słuchanym był z uwagą.

Przyszedł tu czasem i ksiądz Proboszcz co chrzczył jeszcze  
Stasia, stary, siwy,  
małomówny i przysłuchiwał się kiwając głową, tym dawnej  
przeszłości pieśniom, a  
i pani Adamowa gdy już z niesfornemi ukończyła babami w  
garderobie się swarzyć,  
powiększała gościnne grono.— A cóż tam zdrów mój  
Stasieczek? pytała zaraz Ciocia Scholastyka.

— Zdrów Bogu chwała ojej jak rydz.

— A gdzie jest dziś wieczór?

— Pojechał do Wodzisk zaraz po południu.

— O Jezusie żeby się ono, cóżem chciała powiedzieć, nie  
zaziębił wracając...

— Co mu tam będzie, ja jagem był w jego wieku, to  
pamiętam, zaraz to opowiem  
państwu....

— Et jużemy to, cóżem chciała powiedzieć słyszeli.... może  
mu tam, cóżem  
chciała powiedzieć, wpadła w oczko w Wodziskach panna  
Kamilla, niech mu Bóg daje  
zdrowie robaczkowi, ja się zawsze modłę umyślnie codzień za  
niego, odmawiam  
litanię na jego intencją.

— Oj wartoć jak Bóg na niebie, dodawał grubym głosem  
Bartosz, tyło aby  
gospodarstwa nie odmieniał, nie przerabiał. — Et co tam  
gospodarstwo, aby się ono głównie nie zepsuło, bo to jeszcze  
młode  
i strasznie niedoświadczone.

— To i niedobrze, wtrącał Kapitan, jak kto jest taki niedoświadczony, ja jagem był młody, zaraz opowiem...

— Tak zapewne phi! to mi wyciął niedoświadczony, mówiła przedrzeźniając Ciocia Scholastyka, to lepiej zęby cóżem chciała powiedzieć był taki doświadczony... i

Boże zmiłuj się.

— Pochwały wart, wtrącał ksiądz Proboszcz, powoli, przeciągając za każdym słowem, że w tym wieku jest tak nabożnym.

— Ho, ho, ja panie.... zacząć chciał Kapitan, tylko mu panna Scholastyka

gniewnym na niego wzrokiem przerwała.

— Oj pewno, że takiego trudno znaleźć drugiego, mówiła dalej Ciocia.

— Zanadto tylko rozpuszcza chłopów, wtrącała gniewnie pani Adamowa i t. d. Zasiadano następnie z powagą do ćwika.

Ciocia, pan Kapitan, Bartosz, a czasem i

Proboszcz składali partya; Ciocia zawsze zapominała co świeci: czy wino, czy

czerwień lub dzwonka i ciągle prawila o Hapce i o Parasce;

Kapitan trzymając

karty, strzelał do lisów, zajęców, dzików, szczekanie psów naśladował, kwakanie

kaczek i wystrzały. Bartosz i ksiądz Proboszcz siedzieli tylko poważnie, nic nie

mówiąc, zażywając tabakę i popijając herbatę. III.

Pomiędzy dość licznymi sąsiedztwami Dębowej-wólki, jednym z

najcharakterystyczniejszych, był dwór państwa Wojtasińskich, dziedziców Ząbkowa.

Państwo Wojtasińscy uchodzili w okolicy, za ludzi  
chorujących trochę na  
arystokracja, gdy obok tego były złe języki, które twierdziły,  
ze przez pomrokę  
przeszłości państwa Wojtasińskich, przebijał się biały o  
słomianym dachu, jednym  
kominie dworek z zydlami wewnątrz, i szara kapota  
Jegomości i harapnik godło  
ekonomicznej godności.... lecz co nam do ich przeszłości,  
dosyć wiedzieć że żyli  
teraz dość wystawnie, mieli dwór obszerny z  
mahoniowymi meblami, Jejmość jeździła kareta, jakkolwiek  
może zbyt zbliżoną fasonem,  
starością i gatunkiem koni do znanego nam ekwipazu państwa  
Kukasińskich  
Wilkońskiego, liczni goście odwiedzali zawsze ich dwór  
dawali przytem wieczory i  
inne zabawy, których zapewne czuli potrzebę, z przyczyny  
dorastającej panny  
Konstancyi, najstarszej z licznych nadzwyczaj, a stopniami.  
według wzrostu i lat  
klasyfikującego się pokolenia.  
Spojrząwszy na pana Michała, łatwowierny przyznałby może  
słuszność złym językom,  
w powyższy sposób opiewającym jego przeszłość i  
pochodzenie, bowiem był to  
mężczyzna lat około , otyły, niski, ogorzałej mocno twarzy, o  
oczkach czarnych  
i przebiegłych: z pod kusego zadartego nosa, dwa czarne były  
wystrzelone wąsiki,  
policzki rumiane, obwisłe i trzęsące się za każdym jego  
ruchem pasowemi były

pokryte żyłkami, słowem Grand-ville do swego dzieła: La vie privée et publique des animaux, mógłby być go wziąć za wzór do szkicu wyobrażającego buldoga. Jego ubior jakkolwiek wytworny i niby modny, zawsze na nim niezgrabnie i źle leżał, a postuira jego zwyczajna z rozszerzonymi nogami, z rękami w tył założonymi, przypominała istotnie ekonoma, słuchającego dyspozycy pańskich.

Dodać do tego mnóstwo proicyncjonalizmów w ustach, klątew na zawołanie porządny zasób, przekręcania wyrazów, jak np. bez zamiast przez, kole zamiast koło, a utwierdzić się było można w tem przekonaniu.

Mowny był bardzo, i w dyskursach z kimkolwiekby to nie było, w jakimkolwiekby się znajdował towarzystwie, mięszał! szelmów, urwipołciów, zaklinał się często jak Boga kocham, bodajem nie doczekał żony i dzieci i inne zakłęcia. Kłaniający się i grzeczny dla każdego, chętnie w dom gości przyjmował, gospodarował zawzięcie, rachując wszystko pod kredkę i najmniejszy zapisując grosz wydany.

Pani Michałowa nie odrodna jego małżonka, była to chuda, o kilka lat młodsza od niego kobieta, pełna pretensyi cała, wygadana, obraźliwa nadzwyczaj; powiadano ze nieograniczoną nad mężem rozciągała władzę, i ze wzrok jej surowy tyle miał siły, tyle był działającym na panu Michale, że ten nie tylko jej się w czym

sprzeciwić, ale nadto samodzielnie coś zdziałać nie był w stanie.

Panna Konstancja, była to świeża i rumiana lat panienka, o oczach dużych niebieskich, figurze nieco otyłej, rękach trochę za grubych i czerwonych, której zarzucić niepodobna, aby była nieładną, owszem była to piękność wiejska, świeża, hoża, lecz pełna naiwności i prozy. Surowa jeszcze jak to mówią w zdaniach, najczęściej powtarzała cudze, słyszane od panien Sędzianek np. a gdy chciała ze swoim oryginalnym wystąpić, to pewnie takiego wycięła bąka, że parsknąć trzeba było ze śmiechu. Dość śmiała przeciw zwyczajowi wiejskich trusiątek, umiała nawet z mężczyznami prowadzić rozmowę, francuzkami przeplatana frazesami, bo ją mama nie rozpokątnie przestrzegała, i uczyła, czytała romanse Dumasa, Suego, grała na fortepianie, śpiewała i tańczyła nie źle, bo państwo Wojtasińscy wyjeżdżali byli dla niej po kilka razy do Warszawy, gdzie jak twierdzili, dla kończenia edukacji Kostusi się udawali, robiła na krosienkach, a jedną z największych najchwalebniejszych jej zalet była, że krzątała się i wyřęcała matkę w domowym gospodarstwie, i., pod tym względem zasługiwała na pochwałę, bo ileż to mamy jej rówienniczek posiadających muzykę, śpiew, taniec, chociaż Bożezmiłuj się, i paplających po francuzku, którym się głowa do tego stopnia

przewraca, ze sądzą za upodlenie zajmować się kobiecym gospodarstwem.

Dwór państwa Wojtasińskich był połączeniem wykwintność!, w umeblowaniu i

jakiegoś rodzaju niedbalstwa i paralijańskiego gustu zarazem; bowiem jego pokoje

były zastawione meblami mahoniowymi różnego kształtu, a wszystkie w naśladowaniu

mody innych dworów; i tak miałeś w jednym pokoju i kozetkę jak u hrabiego, i

fortepian jak u sędziny, i figurki u ściany jak u prezesa, a obok tego gdzieś

np. lanszaft za szkłem, z napisem między nędznie

pomalowaną girlandą: pobraliśmy

się dnia tego a tego, komoda stara z kłamrami, na niej

ustawione filiżanki, obok

tych mahoniów, kozetek i figurek, bardzo dziwnie odbijały.

Co do przyjęcia

(reception) w tej sali, gospodarzy, podobny kwodlibet

wyrażeń i obejścia sięznajdowałeś, bowiem oprócz

wysznurowanej postawy, francuzkich frazesów, i

delikatnych słówek na wzór baronowej, Pani Domu, oprócz

udanych extazy i

zarówno po francuzku wymawianych zdań o pisarzach

zagranicznych, usłyszeć mogłeś

nieprzeliczone szelmów, drapichrostów, palaruszów zasoby

Jegomości i tak np.

— *Quel mauvais temps avons nous*, mówi Pani siedząc na kanapie.

— *Zachmurzyło się il va pleuvoir*, wtrąca panna Konstancja.

— *O szelma czas panie, zapaskudziło się djabelnie.*

A zarazem napomnienia licznego grona swawolnych dziełek, różnemi tony

krzyczących.

— Enfens soyez tranquilles.

— A cicho kanalje, bo pójdę bić.

— To takie powiadam państwu zbytne szelmy, co niech Bóg  
broni i t. d. Bywał tu i Staś, szczególniejszych doznając  
względów i grzeczności od  
gospodarzy, przy innych nawet zanadto czasem rażących i  
żenujących. Panna

Konstancya rozmawiała ze Stasiem z większym niż z  
kimkolwiek innym wdziękiem;

Staś przyjechał, gładziła sobie w lustrze włosy, brała nową  
niebieską do twarzy

sukienkę, słowem dotykalnemi sposoby, starała mu się  
podobać. Czy go kochała? to

trudnem było do odgadnienia, to tylko pewna, że rodzice  
konferowali z nią często

o Stasiu, radzili z niechcenia, aby mu się podobać chciała, bo  
Staś byłby partyą

nie lada.

Pan Wojtasiński szczególną dla Stasia czuł inklinacją, ścisnął  
go zawsze,

całował, zapraszał, a z domu puścić nie chciał. Widział to  
wszystko Staś,

domyślał się, i śmiał się w duszy, bo panna Konstancja była  
tak daleką od

wymarzonego przezeń ideału; nudziła go rozmowa panny  
Konstancyi, która przy nim

wpadała w entu-

zjasm i z exaltacją przytaczała z romansów francuzkich  
świeżo wyjęte zdania; Gdy

było kilka osób z sąsiedztwa, kilku młodych ludzi, oczywisty  
robiła wybor, i

siadając przy Stasiu z niechcenia, który znudzony nieraz w kąć się był gdzieś

wcisnął, starała się z nim swą nudną, pełną exaltacji prowadzić rozmowę.

A prowadzenie domu na większą stopę, jak się nieraz sami wyrażali gospodarze, przesada obok parafiańszczyzny i niezgrabnego naśladowania osób wyższego tonu, śmiech w nim tylko wzbudzały; bywał więc tu dość rzadko, jednakże bywał dla utrzymania stosunków sąsiedzkich i dawnej już bardzo znajomości.

Bywał tu także i znajomy nam pan Kapitan, jeden dzień w tygodniu uprzywilejował sobie i postanowił przepędzać go w Ząbkowic. Gdy dzieci ujrzały jego jednokonny wózek, którym wszędzie zwykł był jeździć, powoli zataczający się przedganek, krzyczały klaskając w ręce: "Pan Kapitan jedzie, pan Kapitan przyjechał;" bo pan Kapitan lubił dzieci, woził ich na swych kolanach powtarzając: tak pan jedzie.... naśladować umiał tak dobrze odgłosy kaczek, bekasów, czajek, dzieciółów, ie dzieci kładły się od śmiechu. Radzi mu także byli i Gospodarz, i pani Gospodyni i panna Klementyna, bo im pochlebne prawili słówka; a po dobrym zwykle obiedzie, wyjeżdżała umyślnie dla niego nawet butelecza dobrego wina z myszką i obrączką, a był nie pospolitym pod tym względem znawcą.

Jednakże nietylko dla wyżej wymienionych powodów, radzi byli panu Kapitanowi

Gospodarze i nie tylko dla nich wyjeżdżała butelka starego wina; pod tem tyle uprzejmem przyjęciem, utajoną była myśl sprytna Jegomości, który we wszystkim miał wyrachowanie, użycia pana Kapitana jako swata dla złączenia Konstancyi ze Stasiem, która, to myśl głęboko upojoną była w umysły obojga rodziców.

— Bo to widzisz pan Dobrodziej! mówił raz z niechcenia Jegomość siedząc na osobności z Kapitanem, to chłopak widzę porządny, nie stratny, nie urwipołec jak inni, a przytem ma ładajaki mająteczek, warto żeby dobrał na żonę, jaką pocziwą pannę.

— O już to pewno, ze zmiarkowawszy, to na ten wiek takich szukać w korcu maku, wtrącał Kapitan popijając i smakując wino, ja jagem był młody, ho, ho, pamiętam co to za ladaco był ze mnie zmiarkowawszy i zaraz to opowiem....

— Więc uważasz pan Dobrodziej, przerywał mu Jegomość dążąc prędzej do celu, mówiąc otwarcie.... cobyś pan pomyślał, żeby podobną.... do mojej Kostusi zrobił partyę.

Nie mógłby lepszego zrobić wyboru.... cedził popijając Kapitan,— Otóż to widzisz pan Dobrodziej, oni nawet mają do siebie jakąś inklinacyę, uważałeś co?

— Zdaje się....

— Jabym nie miał nic od tego....

— Zapewne....

— Wiesz co pan Dóbr. ty i panna Scholastyka, macie głos u niego, otwarcie mówiąc  
gdybyście raczyli.... słówko mu napomknąć pochlebne o  
Kostusi, ten tego.... tak  
zniechcenia coś tam tege...  
W podobny sposób nagabwał Jegomość pewnego razu pana  
Kapitana, któremu się  
dopiero otworzyły oczy, co było przyczyną, że wyjeżdżała dla  
niego po obiedzie  
butelka starego a tak mu smakującego wina; "aha  
zmiarkowawszy, mówił sam do  
siebie wracając do domu w ów dzień, a ja panie jak głupi nie  
domyślałem się  
tego, ho, ho, dalekie to rzeczy, Kostusia, hm, to trafił, Staś ją  
szykanuje,  
jednakże co mi szkodzi robić im nadzieję, będę  
tymczasemspijał doskonałego węgrzyna" i pocmokał  
ustami.....  
Powtórzył Kapitan zamiary Wojtasińskich cioci Scholastyce,  
która zaraz  
wykrzyknęła: "A niechże ręka Boska uchowa ażebyśmy  
Stasieczka mieli swatać z  
taką, cożem chciała powiedzieć, jak ta panna Konstancya, ani  
mi się Acan waż w  
to wtrącać i jemu to radzić, to wszystko nadęte, dmą choć nie  
ma w co, Boże  
zmiłuj się."  
Pan Kapitan więc był cicho, bywał jednak swoim trybem w  
Ząbkowie potakując  
zawsze zamiarom Jegomości, nic jednak stanowczego nie  
oświadczał, jadł obiad i  
pił wino z myszką i obrączką.IV.

Była godzina z wieczoru, podczas dżdżystej jesiennej pory,  
przed kominkiem na  
którym zwyczajnie buzował się ogień-w swym dworku,  
siedziała w okularach na  
nosie z pończoszką w ręku Ciocia Scholastyka, na głos  
rachując oczka i co moment  
podnosząc głos do drugiej znać izby, gdzie się krzątała  
Kachna.

— Paraska niechaj jutro przyjdzie do prania, jej bo ono widzę  
romanse, cożem  
chciała powiedzieć w głowie z Harysymem.... trzy, cztery,  
pięć, a do roboty  
wałkuń i ospała... pięć, sześć... " gdy wszedł zwyczajnym  
trybem pan Kapitan;  
posta-wiwszy w zwykłym miejscu laskę, pocałował w  
rączkę gospodynię i dostawszy  
wzajemne pozdrowienie: "Dobry wieczór Acanu, " zaczęła się  
rozmowa.

— A cóż tam słyhać, gdzieżeś Acan bywał?

— Byłem Mościa Dobrodziko w Dołhobyczowie i przywożę  
nowinę?

— No co? jaką?

— Oto zaraz opowiem.... będziem mieli za kilka dni nowego  
sąsiada blizkiego, w  
Siedliskach....

— No to już kupione? no kogo?

— Oto kupił je pan Aniszewski, ten, ten co miał Wirejską za  
sobą....

— Aniszewski! zakrzyknęła Ciocia, składając ręce, ten, cożem  
chciała powiedzieć,  
rozwodnik i birbant ostatniego rzędu, Jezu Chryste tak blizkie  
sąsiedztwo....

— Tak, tak, Mościa Dobrodziko, ten sam.... — Nieszczęśliwa godzina, mówiła ciągle tym samym zafrasowanym tonem Ciocia, taże to znają go jak złego szeląga wszyscy i u niego, cozem chciała powiedzieć Sodoma i Gomora, zawsze hula jeno ciągle bez czci i wiary, oto dopiero, Staś gotów z nim zapoznać się, tak blisko, a niech że go ręka Boska broni. — Moja Mościa Dobrodziko, ja jagem był młody, to pamiętam także się hulało... — Et co tam teraz gadać, przestawszy pończochę robić z zafrasowaną ciągle mówiła miną, to gorszy strach teraz będzie, aby się ze Stasiem nie poznał, to takie młode.... a Kachna nie masz co do roboty, to tylko słucha, wam tylo ono zawsze słuchać a nie robić," mówiła dalej podniosłszy głos i obróciwszy się w stronę drugiej izdebki, gdzie ciekawa Kachna stanęła we drzwiach z nawpół wyczyszczonym samowarem przysłuchując się nowinom.... Wszedł wkrótce i stary Bartosz; powtórzyła przed nim nowinę Kapitana Ciocia. — Oj to niebezpieczny sąsiad, mówił ze zwykłą ponurą miną, znam ja ci tego Mospana, to we wsi żadna mołodyca nie jest bezpieczna gdzie on bywało ze swoją hałastrą przebywa.... A tego samego wieczoru, o tej nowinie, dowiedział się Walenty i pani Adamowa od Bartosza, który przyszedł do dworu z relacją gospodarskich czynności.

\* \* \*

W miesiąc potem pewnego dnia o godzinie -ej po południu,  
zgrabna najtyczanka  
zaprzężona w cztery w lejc żwawe, z krakowskimi  
chomontami siwki, z woźnicą w  
liberyi, zatoczyła się przed ganek dworu Dębowej-wólki;  
wysiadł z niej spiesznie  
jakiś mężczyzna w okularach, okutany w niedźwiedzie futro i  
zaczekać groźnie do  
woźnicy przemówiwszy, śmiało wszedł do sieni, gdzie spotkał  
wychodzącego Walentego.

— Jest Pan w domu ? zapytał zrzucając futro.

Zmierzył go od stóp do głowy niechętnem okiem

Walenty "jest", mruknął, wpatrując  
się ciągle w nowo przybyłego.

Był to mężczyzna lat około , trochę łysy, nosił okulary złote  
na

wytryszczonych jasnych oczach, a około ust jakiś dziwny,  
satyryczny osiadł

uśmiech; był ubrany w elegancki rajtrok i spodnie z lampasem  
zgrabnie do jego

zeschłej chociaż figury pasujące.

W ową chwilę w środkowych drzwiach ukazał się

jednocześnie i Staś, w niebieskiej

z kutasem czarnym czapeczce i ujrawszy nieznajomego  
podobnież ciekawem zmierzył

go okiem.

— Excusez, zaczął cedzić przez zęby nieznajomy zbliżając się  
do Stasia, że Panatak absolutnie odwiedzam, je suis Joseph  
Aniszewski, votre tres proche voisin.

Walenty który stał przypatrując się ciągle nowoprzybyłemu,  
za ostatnim przez

niego wymówionym wyrazem, splunął, dobryś mruknął, i wszedł śpiesznie do kredensu.

— Bardzo mi miło poznać Pana, rzekł nieco zmięszany Staś, i poprosił gościa do sali.

— Ja znałem ojca pańskiego i stryja, a nawet j'ai l'honneur, liczyć się do kuzynostwa.

Usiedli, nowo przybyłemu usta się nie zamknęły.

— Bo to vous savez ten, mówił on prędko, młody do młodego to jakoś etykiety się nie uważa, o pół mili mieszkając od Pana, uważałem za obowiązek naprzód zapoznać się z Panem, o którym tyle dobrego słyszałem, i uśmiech jakiś ironii nieznaczny, przelotny, okolił jego usta. gdy tych słów domawiał. — Bardzom rad z miłego zapoznania się z sąsiadem, ale koniki zdaje mi się stoją, czyby nie mogły zająć do stajni, — spojrzawszy w okno rzeki uprzejmie Staś.

— O nie, toby było za nadto, excusez, ale na to nie pozwolę, boby było za nadto z pierwszą wizytą.

— To mogę przynajmniej posłużyć cygarem.

— Tego nie odmówię.

Staś w trakcie tego, zawołał Walentego ze świecą; trzeba było widzieć starego z jaką miną, wniósłszy świecę, spoglądał na nieznanomego, patrzył na niego podobnemi oczyma, jak ten co śmiertelną czuje nienawiść.

Rozmowa z początku tocząc się powierzchowna o dziełach, z której pokazało się, że nowy sąsiad był dość odczytany, przeszła do przedmiotu o zajęciach się; Staś opowiadał swoje, Pan Aniszewski swoje, lecz tego ostatniego opowiadania powoli, powoli, z wyrażen się na wstępie gładkich, a nawet pełnych pretensyi, zaczęły się cieniować w tłuste i gorszące dowcipki, które rumieniec na twarz Stasia sprowadzały, i w końcu wizyty dziwnym się nowy sąsiad wydal Stasiowi, gdy się sadził jak gdyby naumyślnie, na pełną nieprzyzwoitości rozmowę.

— Spodziewam się, że ze strony Pana będę miał rewanz, c'est inutile de vous le dire, mówił gość ściskając kordjalnie za rękę.

Odprowadził go na ganek młody gospodarz, Walenty na znak tylko Stasia, z

widocznem oburzeniem podał mu futro, a gdy odjechał, trzęsącym i tajemniczym do

Stasia przemówił głosem:

— Ho, ho Paniczu, jak Boga kocham, znajomość i komunikacya z tym człowiekiem, niebezpieczna dla Panicza.

Uśmiechnął się Staś i nic nie mówiąc odszedł. Stary Walenty tem większe Gzuł dla nowoprzybyłego oburzenie, że podśluchał całą

rozmowę podedrzwiemi w jadalnym pokoju, o mało że nie wyskoczył do gościa z

pięściami, mitygował się więc jak mógł, spluwając i przeklinając gościa.

A w kwadrans po odjeździe nowego sąsiada, powróciwszy ze wsi, dowiedziała się o tem od Walentego pani Adamowa i wykrzyknęła: "A co a nie mówiłam" i pobięła natychmiast z relacya na białe dworki. We dworku panny Scholastyki zastała Kapitana i opowiedziawszy o odwiedzinach sąsiada z Siedlisk, ciocia Scholastyka: "Jezus Marya, nieszczęście!" wykrzyknęła i gdy na Kapitanie ta wiadomość tak wielkiego nie uczyniła wrażenia, i zaczął rezonować ze: "co mu tam będzie zmiarkowawszy, czy to już tak wielkie nieszczęście, bo i nawet źle kiedy młody skromny jak panna, " zmartwiona tą wiadomością ciocia Scholastyka i rozżalowana Kapitana, Ie jeszcze z takimi uwagami, występował" — Oto wyciął! — z gniewem mu przerwała, — Acan, cożem chciała powiedzieć, pijanyś, czy co, pewnie był gdzie na hulance z kolegami, ze takie androny prawisz phi! — i rozdała się na niego tak, ze z trudnością ją zdołał przeprosić. Dowiedział się tego wieczoru i Bartosz, przyszedłszy ze zwykłą relacya gospodarską i smutny odszedł, kiwając tylko głową. W Niedzielę następną, gdy ciocia Scholastyka i pan Kapitan na obiedzie znajdowali się, zmówiło się o sąsiedzie z Siedlisk. Ciocia zaklinała Stasia: — Tylko się z nim nie bardzo wdawaj duszko, bo to cożem chciała powiedzieć

nagannej konduity człowiek.

— Zapewne, zapewne, — dodawał Kapitan, który był zmuszony do potakiwania Cioci, chociaż inaczej moie był w duchuprzekonany, jednakże najsurowiej przez pannę Scholastykę miał także nakazanem, aby odwoził Stasia od wchodzenia w stosunki z tym strasznym iak go starzy nazywali sąsiadem, a trzeba wiedzieć, że pan Kapitan bał się nie wiem dla czego trochę panny Scholastyki i ślepo wypełniał jej wolę.

— Dziękuję za przestrożę, — odpowiedział Staś z uśmiechem, — jednakże kiedy już teraz widzę tyle przestachu i przestróg, bo mi i Walenty naukę moralną co do niego prawił, i Bartosz wtrąca nieznacznie przy dyspozycyi, o nim, cóż dopiero

Państwo mówić będziecie, gdy ja zmuszony będę Siedliska, odwiedzić, jak tego

wzajemna grzeczność wymaga? i niewątpliwie to uczynię.

Zakrzyknęła po cichu "Jezus Marya" ciocia Scholastyka, spojrział na nią znacząco

Walenty stojący z talerzem za krzesłem Panicza, a Staś widząc jej przestach,

zaśmiał się głośno. Kapitan radby był sięz czem odezwać jak np. że w zamiarze odwiedzin Stasia nie widział nic złego, jednakże przez wzgląd na ciocię Scholastykę milczał tą razą, aby ją nie obrazić.

Zamiar Stasia wyjawiony w gronie rezydentów co do odwiedzin Siedlisk nie był

płonny, jakoż pewnego dnia kazał zaprządz do swej najtyczanki czwórkę

kasztanków i pojechał.

Walenty nie śmiał mu już na wyjeździe nic mówić, bo raz po raz uwagach za nadto często przez starego powtarzanych, Staś mu się oburknał, co nie praktykowaną było rzeczą: "a cóż to, czy ja dziecko żebyście mną tak kierowali. "

W pół godziny po wyjeździe Stasia, wiedziano już o tem na białych dworkach.

Ciocia Scholastyka modliła się, pan Kapitan jakkolwiek zawsze nie potępiał tego

Stasia postępuku, przez wzgląd jednak na ciocię Scholastykę milczał, stary

Bartosz powróciwszy z pola westchnął i głowapokiwał, a pani Adamowa która z temi wiadomościami po dworkach biegała, wykrzykiwała: "a co nie mówiłam. "

Czekał do późnej nocy na Stasia Walenty, siedząc w kredensie i przysłuchując się

najmniejszemu turkotowi: ogień palił się na kominku, chłopak dodany mu do

posługi chrapał pod piecem, stary siedział i słuchał.... Zegar z kukułką wybił

północ, wiatr tylko jesienny z deszczem stukał w okna, lipy i topole ogrodu

głucho po za dworem szumiały.... Stasia nie widać. Zdrzemnął się wreszcie stary

siedząc na stołku, budził się jednak co moment i wychodził do sieni, gdy mu się

zdawało, że słyszy szmer jaki. Lecz wybiła druga, czwarta i piąta, Stasia nie

było.

— Z pierwszą wizytą i tak długo siedzi, — mrucał do siebie stary i pokręcał głową.

Nad ranem dopiero o szóstej, zaturkotało wreszcie przed domem, czuwający ciągle Walenty, na równe ze stoika zerwał się nogi, i wyszedł śpiesznie do sieni, do której właśnie Staś wchodził; był blady i nie wyspany, nic nie mówiąc poszedł do swojej sypialni, i położył się w ubraniu na łóżku.

We dwie godziny popłoch wielki zrobił się we dworze, przybyła ciocia Scholastyka, pan Kapitan, pani Adamowa i Walenty, a z ich ostrożnego choć spieszego po pokojach stąpania, szeptów i zafrasowania, można się było domyśleć, że Staś zasłabł.

— Jezus Marya, — powtarzała po cichu Ciocia przyrządzając jakieś ziółka.

— A co nie mówiłam, — szeptała pani Adamowa. Na łóżku leżał Staś z twarzą przez gorączkę rozognioną, i we śnie mówił coś niezrozumiale.

Pana Kapitana wyprawiono natychmiast po doktora do pobliskiego miasteczka. Kobiety i Walenty krzatali się koło niego z ziólkami, obwiązywali mu głowę wzdychając i szeptając.

— Ja się tego zaraz obawiałem, cóżem chciała powiedzieć, nie napróżno mnie tknęło zaraz coś z początku.

— Musieli go winem upoić, — z zafrasowaną a zarazem pełną starania miną, powtarzał Walenty.

— Jezu Nazarański co za gorączka!.... Przywiózł zasapany Kapitan lekarza z miasteczka, który przepisawszy chłodzące i uśmierzające gorączkę lekarstwa,

zaspokoił poczciwych rezydentów, że nie ma  
niebezpieczeństwa, i że Staś po  
zażyciu przepisanych środków, wkrótce do zdrowia pówróci.  
Istotnie ku wieczorowi, zmniejszyła się znacznie, starzy  
jednak nie odstępowali  
go na chwilę. Ciocia Scholastyka spała tej nocy przy nim we  
dworze, co jeszcze  
niepraktykowaną było rzeczą, i każdy rezydentów oprócz  
Kapitana, delikatnie mu robił wyrzuty, na które Staś  
uśmiechem i "słabą mam głowę do wina" odpowiadał. Kapitan  
zaś opowiedział mu  
zdarzenie swej młodości, które przez ciocię Scholastykę  
przyjętem było  
wzruszeniem ramion, bo opowiadanie tchnęło pobłażaniem na  
tego rodzaju postępkę.  
Gdy Staś powoli do zdrowia przychodzi, a poczciwi rezydenci  
czuwają przy nim  
nieodstępnie, my dowiedzmy się co Staś robił w Siedliskach,  
za swoim tam  
przybyciem.  
A oto zajechawszy przed dość obszerny dwór, którego  
powierzchność pod względem  
porządku i czystości nie była dość obiecującą, wszedłszy do  
pokoju, zastał w nim  
kilkunastu młodzieży na pół pijanych, grających w karty,  
leżących po sofach w  
neglizach i śpiewających różnemi tony rozwiozłe piosnki;  
między nimi gospodarza  
w tureckim szlafroku, z ogromną fajką w ustach i czerwoną na  
głowie czapczką, zajętego podobnie sztosem czy  
faraonem.  
Uprzejmie powitał gospodarz, nieśmiałego i po raz pierwszy  
w podobnem

towarzystwie znajdującego się Stasia, który wszedłszy, uczył  
jakiś żal,  
zgryzotę, wspomniawszy że wchodzi do domu do którego by  
za życia ojca wstęp miał  
wzbroniony, uczucie jednak sąsiedzkiej grzeczności  
przemogło na nim i  
wytłumaczył się sam przed sobą.  
A pierwszą dobitną oznaką uprzejmego przyjęcia gospodarza,  
był szampan pieniaący  
się już oddawna w comoment wypróżnianych przez  
ochoczych gości kielichach i  
strzelający nieustannie korkami.  
— Jeżeli chcesz liczyć się za mego przyjaciela to wypijesz,  
— nalegał gospodarz  
na Stasia, który po pierwszym kieliszku, wymawiał się od  
przyjęcia następnego, i  
mimowoli przyjąć musiał prawie gwałtem wtykany mu kielich  
pieniaącego się trunku.  
Rozmowy tłuste, dowcipy gorszące, " drwinki z  
najświętszych uczuć, do których  
to wszystkich nie przywykł był Staś, raziły jego uszy, śmiał  
się jednak z tych  
dowcipów, bo wszyscy się śmieli, chociaż baczne oko  
dostrzegłoby rumieniec na  
jego twarzy, za każdym przyzwoitość obrażającym  
wyrażeniem.  
Zapraszano go do faraona, ledwie się się mógł wymówić od  
niego Staś, zaklinając  
się że w żadne gry nie grywa.  
— To wstyd dla młodego człowieka nie znać gier,  
niekoniecznie dla oddania im  
się z namiętnością, ale dla tego zęby mu nic obcem nie było,  
— z właściwym sobie

ironicznym uśmiechem, moralizował gospodarz, i dodał w końcu, — ale spodziewam się ze cię wkrótce nauczymy, a teraz kiedy nie grasz to przynajmniej pić musisz," i znów nalegał i prosił tak, że Staś upojony, ledwie się mógł wymknąć nad ranem i z bólem głowy powrócił do domu, gdzie w kilka godzin silna mu się wywiązała gorączka.V.

Z wesołą piosnką skowronka, ze świeżym oddechem ziemi z pod martwej powłoki śniegów ogołoconej i rzeczulek i jezior z lodów oczyszczonych, zawitała wiosna. Wszystko zdawało się nowem odrodzone życiem; wesołe ptastwo po głuchych, pustych przez całą zimę polach i lasach, zaczęło rozwodzić swe szczebiotania; drzewa o nagich konarach, świeżemi choć młodocianemi zaczęły szumieć liśćmi, a ludzie częściej zazierali z domostw i piosnki pracujących po polach i odgłosy fujarek z młodocianej wykreconych wierzby, szły w zawody z wesołem pieniem skowronka.I w wiosce naszej już się było oczyściło z lodów jezioro, brzeg młodocianą zazieleniał trawką, drzewa owocowe i lipy ogródków wiejskich, świeżemi pokrywały się listkami, większy ruch ludzi na wsi; dzieci bose, w półnagie, bawią się już u płotu, robiąc z postruganych drzazek płotki niby do ogródków, gdzie w miejsce drzew gałązkę zieloną wierzby wtykają, a gdzie nigdzie przed chatą, stary, siwy

dziadulek, dziad a może pradziad, wesoło bawiącej się  
dziatwy, siedzi na kłocu  
dębowym co służy za ławkę i na słońcu plecie posłoty, dla  
siebie lub dla  
swoich...

Lecz miñmi ludną i wesołą ulicę wioski, omiñmi tą razą białe  
dworki i ulicą  
wysadzaną topolami, które zielonemi pręcikami już zaczęły w  
górze wystrzelać,  
zajdźmy na znajomy nam dziedziniec starego dworu.

Dziedziniec zazielenił się trawą i drzewa ogrodu pełniejsze od  
liści zaczęły

przybierać kształty; na dziedzińcu zawszetak samo starannie  
wygracowane ścieżki, też same budynki w tejże utrzymywane  
czystości, ten sam wreszcie dwór stary, o białych ścianach i  
lśniących szybach

zewnątrz, wewnątrz o prostych, starych, lecz w porządku  
utrzymywanych meblach i

sprzętach, jednakże we dworze tym wielkie, o wielkie, od  
przeszłej jesieni

zaszły zmiany.

A naprzód w kredensie już nie widać łysej głowy Walentego,  
kilku młodych,

zgrabnych, zwinnych, we frakach z guzami służalców, zajęło  
to uprzywilejowane

starego miejsce; a w pokojach niedawno tak cichych i  
rzadkiem przybyciem gościa

ożywionych, teraz bardzo często i może zbyt często, ochoczej  
młodzi snują się

postacie; ich piosnki i krzyki i żywe rozmowy dziwnem  
echem rozchodzą się po

całym dworze, nieskażonym jeszcze można powiedzieć  
dotychczas, tego rodzaju

kompanią, bo gdy się wsłuchasz w te piosnki, w te  
rozmowy, poznasz, że są zbyt oddalone od względów  
przyzwoitości, a w rej główny wodzącym,  
z ironicznym zwykle uśmiechem na twarzy, poznasz odrazu  
sąsiada ze straszego,  
jak poczciwi rezydenci nazwali dworu. I istotnie cała ta  
kompania próżniaków,  
biboszków i karciarzy, pod przewodnictwem pana  
Aniszewskiego, bardzo często  
przenosiła swe bachanalje, do starego Stasia dworu. Wielkim  
jest i zgubnym wpływ  
nagannego towarzystwa, na niedoświadczonym młodzieńcu,  
który raz w dobrej  
wierze, dał się w nie wciągnąć; jakkolwiek silnie on może  
mieć wkorzenione dobre  
zasady, jakkolwiek stały jego charakter nie zupełnie się da  
nagiąć na zgubną  
zepsucia drogę, to jednak niepodobieństwo, aby po niej jakim  
czasie obcowania,  
pomimowoli nie uczuł w sobie odmiany niekorzystnej, co do  
moralnej jego strony.  
Z początku dziwić go będzie i może oburzać postępowanie  
członków towarzystwa,  
jako zupełnie przeciwne i potępione w jego przekonaniu lecz  
powoli, powoli, przez namowy, a co  
częściej przez wstyd, aby się w ich oczach nie okazać  
dziwakiem, świętoszkiem,  
podobnie postępować zacznie, chociaż ze skrupułem i  
zgryzotą; lecz to tylko  
rzadkim bywa wyjątkiem, bo najczęściej i najpospoliciej  
zdarza się, że  
najpiękniejszych zasad i prowadzenia się młodziec, dostawszy  
się w ręce złych i

zepsutych ludzi, odrazu bez skrupułów i żalu, zciera z czoła niewinność dziecięcą i staje się nieodrodnym kompanii członkiem. I pokazuje się, że obawa rezydentów pod tym względem nie była próżną, dziwną, bo Staś jakkolwiek nie był jeszcze zupełnie zepsutym, w skutku jednak częstych ze strasznym dworem stosunków, odmienił się bardzo na niekorzyść, w porównaniu z dawniejszym swym postępowaniem, i chociaż to jego postępowanie, bardziej było przyczyną nie okazania się oryginalnym w oczach swych kompanów, aniżeli pochodzące z istotnego zamiłowania i namiętnego tychże zabaw użycia, to jednak, słuchał już bez zarumienienia tłustych żartów i śpiewek, śmiał się i poklaskiwał im nie z przekonania lecz dla tego, że inni to czynili; nauczył się grać w faraona, sztosy i inne gry hazardowe, którym jakkolwiek się nie poświęcał z namiętnością, grał jednak dla tego że inni grali. On tak się obawiał ściągnąć na siebie, szydzące, ironiczne uśmiechy kompanii, śledzącej każde jego w naiwności wymówione zdanie, każdy jego ruch i nawyknięcie do zwyczajnych codziennych, pobożności obowiązków, że wolał się tych ostatnich pozornie zaprzeczyć, aniżeli być celem żartów zepsutej młodzieży.

— Uważaliście, — mówił jeden z kompanii gdy zasiadali do stołu, a Staś mały,

krzyżyk zrobił na piersiach, — Staś się zegna przed jedzeniem. — A Staś dewotka.

— A grzecznie, ładnie, mój ty mały, zaczęli żartować ze Stasia, który zarumieniony, od tej chwili która mu tyle przyniosła wstydu, postanowił się nie zegnać.

— Wystawcie sobie, — mówił znów inną razą gospodarz do swoich, w przytomności Stasia, — ta że ten Stasieczek to na mnicha stworzony, imaginez, zastałem go dziś rano klęczącego i modlącego się, jak jaki grzesznik co do Rzymu piechotą podróż odprawia.

Ha, ha, ha, i całe towarzystwo głośnym zawtórowało mu śmiechem, i znów się Staś zarumienił i pomyślał w duchu: "mają może racją, wszak pacierz aby tylko był szczerym to i myślą powtarzanym być może. bez żadnych oznak powierzchownych.

I powróciwszy do domu (Walenty zajmował jeszcze swe dawne miejsce, bo to było dopiero w początkach zapoznania się ze strasznym dworem), gdy stary wszedł do pokoju sypialnego za Paniczem, który zaraz się miał położyć, z wielkiem zdziwieniem postrzegł, że wbrew codziennemu zwyczajowi, nie uklękawszy do pacierza, kazał się Panicz rozbierać, a położywszy się, przeżegnał się tylko i kwita. Bał się stary odezwać z uwagą, która go w język świerzbiała, bo Panicz coś w kwaśnym powrócił humorze, nie zagadał nawet do Walentego, nie pożartował z

nim jak zwykle,  
"Oho to sidła czartowskie," pomyślał stary, wahał się czy mu  
ma uwagę względem  
pacierza zrobić, i powoli zaczął się szastać po pokoju,  
odwlekając swe odejście,  
"nie mówić mu niepodobna, może zapomniał he, he,  
zapomniał, zawsze bywało  
odmawia, a dzisiaj by zapomniał, to sidła, sidła szatańskie, i  
niech co chce  
będzie, powiem, mu;" jakoż po tych myślach biorąc za  
klamkę, jak gdyby sobie coś  
przypomniał, nieśmiałym i wzruszonym ode-zwał się głosem:  
"a o pacierzu Panicz zapomniał."  
— Idź spać stary, daj mi pokój, — było odpowiedzią Stasia, a  
stary zgrozą i  
smutkiem przejęty, pokręcając głową, wysunął się z pokoju.  
Nazajutrz, ta wiadomość z detaljami opowiedziana przez  
Walentego pani Adamowej,  
smutkiem przejęła mieszkańców białych dworków.  
Co do bywania w kościele, podobnież wyśmianym został, Staś  
i od tej pory dla  
nieokazania się świętoszkiem i dewotką, jak go już zaczęli  
nazywać, nie bywał w  
kościelach.  
Było to święto jakieś uroczyste, z białych dworków jak  
zwyczajnie, ściągnęli  
nabożni na sumę i w ławkach zasiedli. Bacznie okiem  
szukała ciocia Scholastyka  
Stasia, kładła okulary na nos, patrzyła, nic było go, a oto już  
stary Proboszcz  
drżącym swym głosem odśpiewał Ewangelią i I ere dignam ci  
justum est, którem dofez zwykle roztkliwiał słuchaczy, Stasia  
nie było i Msza się wreszcie skończyła,

a ciocia Scholastyka napróżno się jeszcze oglądała i bacznie szukała go oczyma.

— W tak wielkie święto i nie przyszedł, — stłumionym odezwała się głosem do Bartosza, który podobnym ze co i ona okiem, szukał Panicza po kościele.

— A jednak zdrów jest, bom dziś panią Adamowe spotkał kole dworu, — tymże samym odpowiedział głosem; i smutni wyszli z kościoła i do swych udali się dworków.

I tak Staś w gruncie może jeszcze nie tyle był zepsutym, ile pozornie bardziej, chociaż nie bez nagany, zdawał się być podobnym do uczestników towarzystwa straszego dworu. Jakiś smutek osiadł na jego czole i pewną zgryzotę uczuwał chwilowo, jakiś niesmak, nieukontentowane z samego siebie, opanowało jego umysł, i nieraz gdy spojrzał na portret ojca wiszący w sali, to oczy ojcowskie tak surowo nań patrzeć się zdawały, że się lękał prawie i unikał tych spojrzeń, to znów gdy mu wpadł w oczy obraz Matki Boskiej wiszący nad jego łóżkiem, jakiś nieopisany żal ścisnął jego serce, tymczasem ciągle zaprosiny do straszego dworu i wzajemne przyjęcia w swoim, hulackiego grona, gorączkowem jakimś roztargnieniem, rozrywały mu te chwile znudzenia i smutnych myśli.

A starzy rezydenci, duchy opiekuńcze Stasia, co mówią na to, łatwo to odgadnąć.

Pani Adamowa jakkolwiek zawsze mieszka w garderobie i pełni swe obowiązki z gorliwością, jednakże wyraz gniewny w twarzy, w obejściu, z którym ją poznaliśmy, teraz w dwójnasób się powiększył. Teraz nie widzisz ją, tylko gniewającą się ciągle, łającą starą Małgosię i baby i często słyszeć można w jej ustach, gdy dyspozycję jaką od Panicza odbierze. "Jezus Marya już też to zbytki Dali Bóg, tak wciąż ono gości spraszać i karmić, ciekawa jezdem, a tu w spiżarni nic nie ma, i porządku za trzy grosze." Ciocia Scholastyka mieszka jak dawniej, narzeka i modli się codziennie o nawrócenie Stasia, Litanią za niego odmawia, przerywaną jak zwykle apostrofami do Paraski i Kachny. Zagniewaną jest niby na Stasia, który jej napomnień i rad usłuchać nie chciał, nie bywa już we dworze, ani na obiadach niedzielnych, jednakże pani Adamowa relację jej codziennie zdawać musi o zdrowiu Stasia i jego czynnościach; stan jego życia terazniejszy, znacznie ją obchodzi i martwi, tak że aż czasem zapłacze. Pan Kapitan zawsze jest sobie panem Kapitanem, na nim smutku nie znać i jakkolwiek na częste teraz odwoływanie się cioci Scholastyki, smutnym, na w pół płaczącym przez nią wymawiane głosem: "Widzisz Acan, Acan mówiłeś, cóżem chcia-ła powiedzieć, że mu nic nie będzie, a co? przeczuwałam jak to dobrze!!" gani

podobnież postępowanie Stasia i "oj prawda Mościa  
Dobrodziko" wzdychając  
powtarza, jednakże nie raz, radby był zajrzeć do dworu, do  
którego wstęp  
najsurowiej mu przez ciocię. Scholastykę zabroniony i dzielić  
z wesołą kompanią  
zabawy, a szczególnie polowania...  
Do dworku Bartosza przybył jeden mieszkaniec więcej t. j.  
Walenty: postarzał  
biedak, pomizerniał, wyniósł się on z oburzeniem ze dworu,  
gdy widział, że  
uliberiowani nowo przyjęci lokaje miejsce jego zająć mieli, i  
zamierzył siedzieć  
z Bartoszem, gdzie ażeby jednak nie próżnować, chleba  
pańskiego darmo nie jeść,  
po całych dniach sieć robił, lub naprawiał stare włóki. Łatwo  
się domyśleć ile  
cierpiał stary, patrząc na tę zmianę życia Panicza, którego tak  
kochał, którego  
do ideału przedtem wynosił, płakał nie raz jak bóbr gdy  
wspomniał, jak to dawniej bywało a jak  
jest teraz.  
Bartosz stary, podobnież stał się jeszcze bardziej ponurym jak  
dawniej; doglądał  
on gospodarstwa, chodził jak dawniej po dyspozycje do  
dworu, jednakże z  
oczywistą jakąś niechęcią, z mniejszą jak dawniej rzutkością, i  
nie raz gdy  
zmordowany z pola wieczorem do domu powracał, suchym, z  
goryczą do Walentego  
odzywał się tonem: "Na licha się to wszystko zdało ta praca  
moja, kiedy to z

dymem pójdzie wszystko niedługo, jak mi Bóg miły pójdzie; "  
i kiwali starzy  
głowami....

I nie raz bywało, gdy wieczorem, huczał dwór stary odgłosem  
bawiących się, i  
wszystkie jego okna mocną naokoło biły łuną, obaj starzy  
mrużąc i narzekając,  
łazili pod oknami i zaglądali ostrożnie przez okna, a ich  
oczom przedstawiały  
się postacie młodych ze straszego dworugości, snujące się po  
pokojach i do ich uszu dolatywały piosnki i wesołe  
rozmowy. Wzrok ich niekiedy szukał między niemi  
nieszczęśliwego Panicza i  
wynajdywał go siedzącego gdzieś z boku, z twarzą bladą,  
znudzoną, podpierającego  
głowę na rękę....

— Siedzi smutny! — stłumionym lecz dobitnym, jeden do  
drugiego odzywał się  
głosem.

— O Jezu, Jezu, co się też to dzieje, to Arabia, dyzerta, —  
powtarzał boleśnie,  
drżąc od wzruszenia i zaglądając przez okno Walenty.

— Co to będzie, co to będzie, ta ze ta hałastrą obje go z  
nogami niedługo,  
obroku koniom nie nastarcz, a wódki ludziom, groźnym i  
podobnie stłumionym  
Bartosz dodawał głosem.

A w kościele bywali rezydenci regularnie jak dawniej, Stasia  
tylko nie było: w  
modłach gorących, dołączali oni proźbę nawrócenie na drogę  
cnoty Panicza, którego tak kochali, a na którego napozór  
tak zagniewani być się zdawali. Śpiewano nie raz w kościele  
litanią do Matki

Boskiej, a do tej pieśni dołączały się zwykle i grube Bartosza,  
Walentego i  
Kapitana głosy,  
i cienkie dyszkantowe cioci Scholastyki i pani Adamowej, a  
przy wyrazach: "od  
sideł szatańskich, wybaw nas Panie," z pokorą krzyżowały się  
ich ręce i  
nachylały stare głowy, z większą niż zwykle pobożnością.

\* \* \*

Z wiosenną porą, podczas cichego i pięknego wieczoru, który  
odgłosem żabek,  
derkaczy, brzękiem muszek i komarów, rozwodził swą  
harmonią po świeżem spadającą  
rosą ożywionem powietrzu, o zachodzie słońca, siedziała  
ciocia Scholastyka na  
ganku swego dworku, z pończoszką w ręku, odmawiając  
Anioł Pański. Okna jej  
dworku były otwarte dla świeżego po-wietrza, a zapach  
świeży, roślinny, starannie utrzymanego po za dworkiem  
ogródka, rozchodził się po całym dziedzińcu.

— A Kachna niechaj pamięta komary gałęzią wypędzić, jak  
słonko zajdzie, —

podniósłszy głos, ozwała się ciocia, i znów przerwane  
Zdrowaś Marya zaczęła.

W tem, od strony bramki, ukazał się z gitarą w ręku pan  
Kapitan, drobnym  
zbliżający się kroczeniem, w czapeccie z fantazyą na ucho  
zasadzonej i w zwykłym  
swym stroju.

Pozdrowili się jak zwykle, jak od lat kilkunastu starzy. —  
Dobry wieczór

Jejmości. — Dobry wieczór Acanu.

— Tak tu przychodzę zmiarkowawszy do Jejmości, jak jaki trubadur, he, he, he, dawnom już nie grał i nie śpiewał, a wiosna i czas tak piękny, dodają mi natchnienia, — i usiadł naprzeciw cioci Scholastyki a przechyliwszy głowę na bok i przymila-jącą zrobiwszy minę, zaczął brzdąkać po stronach, różne wywodząc preludia.

— A o Stasiu nie wiesz Acan co tam dziś robi, jeszcze coś nie widać pani

Adamowej z relacją, — smutno zapytała po chwili Ciocia.

— Abo ja wiem, proszę Jejmości, we dworze zmiarkowawszy nie bywam, bo mi i nie wolno.... at co robi? muszą hulać abo w Siedliskach, abo gdzie na polowaniu.

Pokiwała smutnie głową ciocia Scholastyka, nie przestając robić pończoszkę, po chwili rzekła.

— A widzisz Acan że ja, cóżem chciała powiedzieć, tak jakem zawsze gadała tak i teraz mówię, że nie na próżno się strachała, a Acan mi mówił co mu tam będzie, to źle ze taki niedoświadczony, ot masz Acan, a co lepiej teraz co?

Tę skargę i wymówkę słyszał Kapitan prawie codziennie, i tą razą tak jak zwykłe nic na to nie odpowiedział, tylko ciągle brzdąkał — A jakżeż koniec, — dodała wzruszonym głosem, — jeżeli się nie opamięta... ho smutny koniec, — i łzy zakręciły się w jej oczach.

— Młode to wyszumi, — wtrącił nareszcie Kapitan.

— Oj wyszumi, wyszumi, po niewczasie, jak się i do reszty zepsuje, i o Bogu zapomni.... ale ot zaśpiewaj no Acan coś miał śpiewać, to się rozerwiem trochę z tych smutnych myśli.

Odkrząknął Kapitan kilka razy, kilka razy silniej w strony uderzył i ochrypłym

jak w garnku głosem, z miną o ile mógł patetyczną zaczął:

Te brzóz kilka...

lecz gdy zaczynał strofę: "Czemuż z miłych rzeczy zgubą człowiek pamięci nie

traci," zwabione śpiewem i muzyką Kachna i Paraska,

porzuciły swe zajęcia i z sieni z po za drzwi, ciekawie się gapić zaczęły.

Spostrzegła to ciocia Scholastyka i w miejscu z największym uczuciem przez

Kapitana odśpiewiewaniem, wykrzyknęła:

— A Paraska i Kachna po co tu się gapią! a mondrele, a do roboty, cożem chciała

powiedzieć, wam ono co zawsze słuchać a nie robić!

W ową właśnie chwilę, nadeszła spiesznym krokiem pani Adamowa.

Kapitan z niechęcią przerwać musiał piosnkę.

— A cóż tam Staś dziś robi, — było pierwszym Cioci zapytaniem.

— Boże mój, ciekawa jezdem co Jejmość chcesz żeby robił, a tać pojechali hurmem

na polowanie, i jeszcze dziś tu mają powrócić.

— Czy tyło zdrów a nie mizerny.... dawnom go już i nie widziała, ale jak tam

zajrzeć, kiedy tam wciąż taka Sodoma. — Oj Sodoma,

Sodoma Jejmościulku, śpiewają, krzyczą, co aż u mnie w garderobie

słysząc; bez caluteńką noc wczoraj tak hulali i Panicz kazał  
mnie zbudzić jak  
się im zachciało jeść po północy, a tak teraz zhardział co  
niech ręka Boska  
broni, zaraz się gniewa jak mu co na czas nie sporządzić....  
Psastąpiły potem wzdychania zwyczajne cioci Scholastyki i  
narzekania dalsze pani  
Adamowej, pan Kapitan nucił coś sobie pod nosem i brzdąkał  
na gitarze; w tem  
turkot jadących żwawo kilku najtyczanek ode wsi ku  
dworowi, pełnych wesołej i  
krzyżującej młodzi, ze strzelbami i torbami, przerwał im dalszą  
rozmowę.

— Oho jadą, ot masz, — zawołała gniewnie pani Adamowa,  
— a muszę iść, bo niech-

Bóg broni co by to było żeby im co nie przyrzadzić, — i  
wzruszywszy ramionami, i

Dobra noc, wyrzekłszy, spiesznym ku dworowi zwróciła się  
krokiem. Ciocia Scholastyka z widoczną boleścią na twarzy,  
patrzyła na te przejeżdżające

przed jej bramką ekwipaże i zrobiwszy w powietrzu znak  
krzyża, zaczęła szeptać

jakaś modlitwę. Kapitan patrzył także na tę wesołą hałastę  
powracającą z

polowania i zazdrościł im w duchu.

A tego samego wieczora, przed Bartoszkową chatą, siedział  
stary Walenty

odmawiając pacierze, i na widok przejeżdżających, pokiwał  
smutnie głową i łzę

obtarł rękawem. VI.

W podobny do poprzedzającego wieczór, po wąskiej i  
wiecznie zabłoconej grobli,

Wiodącej od lasu do wsi Ząbkowa, włości znanej nam  
Wojtasińskich, których dobra  
w szczególnie złe i niedbale utrzymywane drogi obfitowały,  
jechał Staś czwórką  
swych kasztanków, w najtyczance. Maciej wąsala, zgrabnie  
wywijał biczyskiem i  
potrzaskiwał nad uszami żwawych kasztanków, które pomimo  
niewielkiego ciężaru,  
stępo, z wielkim trudem, po błocie postępowały.  
Staś ze smutną, znudzoną twarzą, obojętnym okiem patrzył na  
rowy, po obu stro-nach grobli ciągnące się, zarosłe krociami  
niezabudek, z kądem kilka monotonnych  
głosów żabek się odzywało.  
Powracał on z jarmarku z pobliskiego miasteczka, gdzie przez  
kompanię ze  
straszego dworu, miał sobie danem rendez-vous.  
Dojeżdżali właśnie do kołowrotu, z kądem na lewo skręcała się  
droga do dworu,  
bielejącego opodal w wieńcu lip i topol ogrodu.  
Staś jakkolwiek już oddawna nie odwiedził mieszkańców  
Ząbkowa, i tą razą jednak  
nie miał ochoty, tę tak nudną dla niego odbyć wizytę, i Maciej  
zadawszy silniej  
czwórkę, która po równiejszej nieco drodze, śpieszniej biedz  
zaczęła, już miał  
minąć drogę ku dworowi wiodącą, gdy od kołowrotu, mocny i  
gruby głos hau!  
zwrócił jadących uwagę.  
Spojrzał Staś w stronę tego wykrzyknika, i ujrzał pana  
Wojtasińskiego, z fajeczka w ostach, śpiesznie od strony  
stodół idącego ku niemu i machającego rękami  
na znak wstrzymania się.

Niezupełnie zadowolony tą zaczepką Staś, rozważywszy że to pociągnie za sobą odwiedziny dworu, stanąć jednak kazał i wysiadłszy, iść zaczął naprzeciw Gospodarza.

— A poczekaj ty, ty ladaco, — grożąc, zdaleka jeszcze, wołał Wojtasiński. —

Urwipoleć z ciebie widzę, hulasz, hulasz, a o sąsiadach zapominasz, — i objął

Stasia grubą swą ręką i zaczął całować. — Spodziewam się, — mówił dalej, — że

przynajmniej dziś mnie nie ominiesz, kiedym cię złapał.

— Dziś istotnie nie mam zamiaru złożyć Państwu mego uszanowania, śpieszno mi bowiem do domu.

— Nie bądźże dureń, proszę cię, musisz i kwita, — i kiwnął ręką na Macieja aby wjechał, i wzięwszy Stasia pod rękę, gwałtem go prawie ku dworowi poprowadził. — A żona i Kostusia dziwią się panie, co to jest, że do nas nie zagląda, — mówił ciągle dalej, — a ten szelma panie, jakby miał nie wiedzieć jaką robotę, zapomina o nas he, he, he, rozśmiał się i poklepał Stasia po plecach.

Gdy weszli do dworu, do sali, której drzwi szklane na ogród były otwarte,

zastali w niej pannę Konstancję, przerzucającą książki, na głównym przed kanapą

leżące stole, i samą Gospodynię zajęta czytaniem jakiegoś nowego zapewne francuzkiego dzieła.

— Przyrowadzam tu wam zbiega, któregoś ledwie mógł złapać na drodze, pilnujcie

ze go i bawcie, a ja jeszcze pójdę do gumien i natrę uszów  
temu chamowi

Wronczyńskiemu, co mi szelma pobałamucił z wywózką  
siana.

Staś się uprzejmie damom skłonił, pan Wojtasiński wyszedł, a  
damy prosiły gosiedzieć, i zaczęły mu delikatne robić  
wyrzuty.

— Est-ce possible, panie Stanisławie. Iak o nas zapomnieć, —  
uprzejmie lecz z

wyrzutem, odezwała się Gospodyni.

— Pan zapewne był słaby.... bo jakież powód dać można temu  
tak rzadkiemu nas

odwiedzaniu, — z pretensją dodała panna Konstancya.

— Istotnie byłem trochę słaby, zajęcia miałem dużo, — bąkać  
zaczął Staś.

— Czyby nowy sąsiad z Siedlisk, tak Pana zobowiązał, żeś  
Pan dla niego o nas

zapomniał? — zagadnęła znów gospodyni.

Gdy Staś temi zapytaniami i delikatnemi wyrzutami  
zambarassowany, bąkał coś

niezrozumiale w odpowiedzi, od ogrodu we drzwiach  
szklanych, ukazała się

postać, która miłym zdziwieniem Stasia przejęła.

Było to młode, nie tyle ładne ile miłe dziewczątko, mogła  
mieć lat około ;

średniego wzrostu, o zgrabnej figurce, młodociane kształty jej  
ciała, wdzięcznie rysowały się pod skromną białą

muślinową sukienką, twarz blada o drobnych rysach  
niezwyczajną dobrocią i

łagodnością tchnących, oczy czarne żywym jaśniejące  
blaskiem z pod zgrabnych i

wąziutkich brwi, na ustach osiadł wyraz łagodności i  
swobody. Włosy jej czarne w

drobne zawinięte loczki, osłaniały szyję, lecz nie łabędzią, przepraszam, nie białą tak jakżeście się może spodziewali, lecz śniadą tak jak cera jej twarzy.

Nie była tak piękną jak zwyczajnie są niemi bohaterki powieści i na pierwszy rzut oka niewiele interesującą jednakże ta twarz czystością i swobodą myśli tchnąca, naturalność i swoboda ruchów, nieopisanym wdziękiem pociągały ku niej serce.

Szła wolnym krokiem, swobodnie, bez przesady w ruchach, nie, se donnant des aires, jak panna Konstancja; w jednej ręce trzymała bukiet kwiatów, w drugiej rozwartą książkę. A wszedłszy do sali, nie spodziewała się zapewne spotkać gościa, bo się zapłoniła, Staś powstał i ciekawem zaczął ją mierzyć okiem. Pani Gospodyni pośpieszyłaś przedstawieniem nowo przybyłej.

— Mademoiselle Anette Wolecka notre

— Monsieur Stanislas notre voisin.

Skłonili się sobie nowo zarekomendowani i usiedli, on na swoim miejscu, ona przy panie Konstancji.

— Cóż ty czytasz tak zawzięcie, ma chère?—zapytała ją z wyrazem jakiejś wyższości i lekceważenia panna Konstancja.

— Czytam Pamiętniki Nieznajomego, — dźwięcznym głosem odezwała się zagadniona. — Eh mon Dieu, ces betises-là, szkoda czasu, — wymówiła krzywiąc się panna Konstancja.

—Ja sędzę, — przerwał Staś, — ze to dzieło Kraszewskiego, przed innemi zasługuje na czytanie.

— Myśli w niem dużo i pięknych.... — nie śmiało wtrąciła Anusia, którą tak już, bo po rekomendacyi nazywać będziemy.

— Zabawną jesteś ma chère, że mając tyle dzieł prawdziwie dobrych: Dumasa, Balzaka, Suego i innych, ślęczysz nad mizernemi naszymi bazgraczy płodami.

— O jakże droga Kostusiu niepochlebną masz o naszych pisarzach opinią, — z miłym uśmiechem odpowiedziała Anusia, — czyliż dla tego uważasz ich prace za

nieudolne, dla tego że są nasi?... a ja przedewszystkiem staram się właśnie,

pierwej naszą literaturę gruntownie poznać, tak jak to każdego rodaka jest

powinnością....I rozmowa toczyła się dalej żwawo. Panna

Konstancya szydziła z naszych pisarzy,

wychwalała francuzkich, lecz dla czego, sama pewno nie wiedziała, i przytaczała

z exaltacją wprost z nich wyjęte frazesa. Anusia broniła swojej literatury wraz

ze Stasiem, który dziwnie co do zdań pod tym względem harmonizował z Anusia,

pani Gospodyni wtrącała niekiedy swe zdania ogólne, tchnące jednak stronnością

dla Kostusi, i przerywając je wykrzyknikami do drugiego pokoju skierowanemi:

"Enfents soyez tranquilles," z kąd się czasem ogromny rozchodził harmider,

swawolącego licznego dziątek grona.

I Staś z zajęciem patrzył na tę tak niespodzianie pojawioną, młodej panienki postać, której zdania zdrowe i skromnie wyjawiane, ruchy i mowa dalekie od wszelkiej przesady, tak odbijały przy pełnej pretensyi pannie Konstancji.

Nie sądźcie jednak, by za ujrzeniem, takjak to w powieściach romantycznych ma miejsce, nasz Staś namiętną od razu ku Anusi uczuł miłość, toby było zaabsolutnem z jego strony, zamilczeć jednak trudno, ze Anusia mocno go zainteresowała, moie dla tego, ze nie spodziewał się tu spotkać tak miłej i dobrze ułożonej panienki, i ze z wyjazdem się nie śpieszył.

Dopiero gdy księżyc dość wysoko wzbił się na niebie z zachodu, powracał Staś do Dębowej-wólki, lecz z zupełnie nowemi myślami nad te, z jakimi do Ząbkowa dojeżdzał. Nie wiem czy urocza chwila, spokojnej, świeżej, wiosennej nocy, na jego imaginacya tak działała, to tylko pewno, ze wracając marzył o Anusi, zamierzał dla niej znów wkrótce Ząbków odwiedzić, i przyznał jej nawet cząstkę, lecz cząstkę tylko, zbliżając ją do wymarzonego ideału. Czem była Anusia, jaki jej powód bytności w Ząbkowie? te myśli nad któremi su-szyi sobie Staś głowę w ciągu podróży, my się wprost dowiemy.

Anusia była córką obywatela, ex-wojskowego dawnego Majora, który niewielką posiadawszy fortunę, po dzierżawkach, lub na własność zakupionych kilku

włókowych kawałkach ziemi, starał się dorabiać i obracać swój kapitalik, w czym mu się jednak pomimo gorliwości w gospodarstwie nie zupełnie szczęściło, moje dla tych powodów, że coraz na nowe kupna i dzierżawy się porywał i nigdy w jednym długo nie usiedział miejscu. Przed kilkunastu laty, trzymał on w dzierżawie jakąś wioskę niedaleko Ząbkowa, potem wyniósł się gdzieś daleko, rozmaitych próbując spekulacyj, coraz nowe biorąc dzierżawy, teraz zaś, od pół roku, zakupił w naszych stronach, mały z kilku włók ziemi składający się folwarczek, Gaikiem zwany, i tu w drewnianym, kalenicą krytym dworku, siedział i gospodarzył. W okolicy, okrzyczano go za dziwaka, za mizantropa, odludka, siedzącego jak zaklęty w swym Gaiku i niekomunikującego się z nikim. Istotnie pod tym względem można mu było poniekąd przyznać słuszność; nigdzie bowiem nie bywał z nikim się nie bratał, nikt u niego nie bywał, jednakże był to rzadkiej poczciwości człowiek; grunt serca prawy, stałość charakteru, pomimo obejścia się zanadto może opryskliwego, tylko przez małe kółko bliżej go znających, dostatecznie ocenionem być mogło. Z fajeczką ulubioną w ustach, doglądając swe małe gospodarstwo, przesiedział już przeszło pół roku w swoim Gaiku, a mało go kto z sąsiadów przez ten czas

widział, znano go więcej z reputacji dziwactwa powyżej  
wymienionego i Staś  
nawet, jakkolwiek Gaik o mil trzy niecałe, od Dębowej-wólki  
był oddalonym, nie  
znał go i nie widział wcale. Major jednakże znał wszystkich,  
zdala, z ukrycia, gdy na niego prawie nie  
zwracano uwagi, on zważał wszystko, wiedział o wszystkim.  
A Anusia była jedynaczką i sierotą, bo bez matki, którą w  
pierwszych lalach swej  
młodości utraciła; wychowana u babki na Litwie, kobiety  
pobożnej i pełnej cnót  
właściwych starym naszym matronom, mniej może  
skorzystała na powierzchownem, a  
tak wymaganem od świata ukształceni ile gruntownych serca  
i głowy, od babki  
przejęła przymiotów.  
Po śmierci babki wróciła do ojca, którego najczulszą dziecka  
kochała miłością,  
i kochaną była od niego, pomimo że jego obejście się z nią,  
było zawsze surowe i  
opryskliwe. Nie nazywał jej inaczej tylko Asińdzką,  
pieszczoty zwykle  
rodzicielskie były dla niej zupełnie obcemi, gdy ją w głowę  
czasem pocałował,  
było to dla niego dowodem rzadko dobrego humoru, dla niej  
szczęściem nie do opisania. Siedziała więc z nim razem w  
Gaiku, gdzie  
miała swoją komnatkę i ogródek, i najczulszem staraniem  
obsypowała ojca,  
starając się umilać i rozrywać chwile cierpkiego jego humoru.  
A łagodność, prostota, czułość i anielska dobroć, rozlane w  
rysach jej twarzy

były cechą jej życia, jednakże oprócz włościan z okolicznych wsi którzy wychwalali dobrą pannulę z Gaiku, jako chętnie niosącą pomoc chorym i udzielającą bezpłatnie różnego rodzaju leki z apteczki, którą sama urządziła, nikt jej prawie nie znał, nie widział.

Pan Major był dalekim krewnym pani Wojtasińskiej; sprowadziwszy się w te strony,

po pół roku osiedzenia się w Gaiku, zaledwo raz jeden odwiedził mieszkańców

Ząbkowa. Protekcyjnym tonem przyjęli go gospodarze, a Jejmość nawet raczyła

wtrącić, bo to było pod jej dobry humor, że "dla czego Pan tak siedzisz jak zaklęty i córkę swą wędzisz, przywieź ze ją kiedy do nas, a w towarzystwie z Kostusią, ja sądzę że wiele od niej skorzystać potrafi."

Nie śpieszył się jednak Major z zadosyć uczynieniem tym z niechcenia niby

nadmienionym zaprosinom, dopiero gdy umyślnym odebrał od Wojtasińskich list

nadzwyczaj grzeczny, zapraszający Anusię na kilka nawet miesięcy do Ząbkowa,

gdyż Kostusia bardzo sobie tego życzy, zdziwiło go to niezmiernie i wysłał

Anusię. Wkrótce jednak wymacał powód tych tak uprzejmych listownych zaprosin,

gdy pan Wojtasiński przyjechał do Gaiku w interesie kupna owiec, które pan Major miał do zbycia.

Nic bowiem państwo Wojtasińscy nie czynili, pod czemby się ich myśl sprytna nie

ukrywała.

Drugi to tydzień jak Anusia bawiła w Ząbkowic,  
postępowanie Gospodarzyi Kostusi było względem niej dość  
grzeczne, wszakże zawsze jakiś ton  
protekcjonalny, przodkował w każdym kroku ich względem  
niej obejścia się.

Jakkolwiek panna Konstancya co do sposobu myślenia,  
zupełnie z nianie  
sympatyzowała, jednakie uznała za rzecz przyzwoitą,  
utrzymywać z Anusia pewną  
politykę.

Nie wiem czy wierzyć tej sympatii dusz, które nie widząc się  
jeszcze,

przeczuwają się tylko, a za pierwszym spotkaniem się, gorącą  
ku sobie płoną

miłością, to jednak pewna, że nietylko Staś po pierwszej"  
wizycie, mocno był

Anusia zajęty, ale i ona w swej główce przyznała mu  
pierwszeństwo, nad

kiedykolwiek widzianą młodzieżą i gdy odjechał, marzyła o  
nim i wyglądała

dalszych jego odwiedzin.

I nie długo czekała, w kilka dni bowiem po tej wizycie, Staś  
znów odwiedził

sąsiadów. A na wstępie, aby nie ściągnąć na siebie podejrzeń,  
względem tych tak nagle po

sobie następujących wizyt, coby tem bardziej było razącem, że  
przed tem przez

czas tak długi nie odwiedzał Ząbkowa, zaczął się Gospodyni i  
pannie Konstancyi

tłómaczyć, że żałując swego postępku, zamierzył częstem ich  
teraz najeżdżaniem,

naprawić swą winę.

To tłumaczenie się Stasia, mile przyjętem było przez panią  
Gospodynię, a jeszcze  
milej przez pannę Konstancję, która jakkolwiek wiele miała  
przenikliwości  
kobiecej, tak się jednak czuła wyższą wdziękiem i  
ukszałceniem od Anusi, ze z  
początku przynajmniej, przypuszczać nie mogła, aby te Stasia  
odwiedziny, mogły  
mieć na celu, inną jaką nad jej osobę okoliczność.  
I Staś w tych częstych odwiedzinach, jakkolwiek zmuszonym  
był nudne i pełne  
exaltacyi z panną Konstancją prowadzi rozmowy, miał!  
jednak sposobność poznania i ocenienia coraz więcej Anusi,  
która  
z każdym wiódzeniem się, silniej mu się w głowę i w serce  
wrażała. Mało z sobą  
rozmawiali dla niewzbudzenia podejrzeń, jednakie  
porozumiały się ich serca, ich  
oczy tajemną kecz wymowną prowadziły rozmowę.  
Nadeszła pora Maju, pora kwitnących bzów, śpiewów  
słowika, pora kwiatów, tak  
sprawiedliwie miesiącem miłości zwana, i ta pora może  
przyczyniła się wieleż do  
rozpłomienia uczuć naszych bohaterów, którzy dla i  
uniknienia podejrzeń,  
oziębłą na pozór, jedno dla drugiego odgrywali rolę.  
Nie będę was nudził opisaniem uczuć miotających ich serca,  
ich spojrzeń  
gorących, westchnień tajemnych, i drzenia głosu w ich  
rozwowie przy zdarzonej  
sposobności, w każdej to bowiem znajdziecie powieści,  
ogólnie więc tylko

nadmienię, żemiłość ich z każdym dniem wzrastała, ze często, bardzo często Staś odwiedzał Ząbków, i ze już państwo Wojtasińscy i Kostusia coś domyślać się zaczęli.

Miłość powiadają jest tarczą od wielu występków, i istotnie gdybyśmy te aksioma do Stasia zastosować chcieli, przypisalibyśmy oczywistą temu zdaniu prawdę.

Jakoż od czasu poznania Anusi, unikał zabaw z hulacką ze straszego dworu młodzieżą, rzadziej już, jakby z musu, odwiedzał Siedliska, i rzadziej ich w swoim przyjmował dworze.

A pewnego rana nawet, z wielkiem rezydentów zadziwieniem, odwiedził po raz pierwszy, białe dworki z kolei.

— Dzień dobry Ciotuni, — mówił Staś wchodząc do dworku panny Scholastyki, która już oddawna na nogach, łajała w drugiej izbie Kachnę.

Zakrzyknęła ciocia z podziwu, ujrzawszy Stasia, i sama nie wiedziała co ma mówić. — Czy się Ciocia na mnie gniewa, czy zapomniała o mnie zupełnie, ze tak dawno mnie nie raczyła odwiedzić? — i pocałował ją w zeschlą rękę.

— Stasieczek, cóż się stało. że mnie, cozem chciała powiedzieć odwiedza, — trochę z urazą, z ciekawością a razem wzruszeniem, przemówiła do niego.

— Kiedy Ciocia na mnie tak niełaskawa, sam tu przyszedłem ją zawstydzić.

— Żem nie bywała mój Stasieczku... — mówiła smutno, — i nie będę już może, bo

tam we dworze nie tak się dzieje jak Bóg przykazał, jak powinno.

— Ciocia bo myśli, że ja zawsze ten Stasieczek mały, co dawniej, — z uśmiechem mówił Staś.

— Oj bo to nie ten Stasieczek z ciebie, cozem chciała powiedzieć, co dawniej, co dawniej, co przed rokiem, nie ten co pacierz rano i wieczór odmawiał, nie ten co bywał co święto i Niedziela w kościele, — i poniosła chustkę do ocz starych i wpadłych, w których się łzy kręcić zaczynały.

— O bądź spokojna kochana Ciotuniu, — nieco wzruszony odpowiedział Staś, — nagannem jest to moje bratanie się z nimi i zepsułem się, czuję to, zepsułem się wiele, lecz zaręczam Ciotuni, że zupełnie zepsutym, jeszcze nie jestem.

Cioci twarz rozpromieniła się radością, i przyszło jej z razu na myśl, że skutkiem litanii, które codzień za niego odmawiała, Stasiowi przyszła chwila upamiętania i poprawy.

— Zepsuty nie jesteś i poprawisz się, — mówiła radośnie składając ręce, — i przewiesz stosunki z tą zgrają, cozem chciała powiedzieć łotrów, przestaniesz tych kosztownych zabaw, które twemu zdrowiu szkodzą i są obrazą Pana Boga?.... o Boże dzięki ci, — i zaczęła Stasia z uczuciem w głowę całować. — Przerwać stosunki, tego nie mogę, nie wypada, lecz zaręczam Ciotuni, że co innego mam teraz na myśli, nad zabawy z nimi....

Znów się trochę zachmurzyła Ciocia, na tę jego apostrofe,  
jednak zapytała.

— Co masz na myśli, moja duszko?

— Ciotuniu, Kocham się.... i właśnie chciałem Ciotuni  
zapytać się, czy nie zna  
jej lub jej ojca.

— No któż to, kto taki?

— Anusia Wólecka, miła, dobra jak anioł.

— Wólecka? znam, znam, cóżem chciała powiedzieć, znam  
starego jej ojca trochę,  
trzymał tu przed kilkunasty laty dzierżawkę, i teraz podobno  
cóż tu w tych  
stronach trzyma, o córce wiele dobrego słyszałam, ale Kapitan  
jeżeli już wstał  
to najlepiej o tem powie.... Kachna! weijeno i idź do Kapitana  
prędko, i mów  
żeby tu zaraz przyszedł. I ciocia Scholastyka już weselsza, nie  
uspokojona jednak zupełnie, słuchała  
miłosnych rozwodzeń się Stasia nad jego kochanką, gdy  
posłuszny Kapitan wszedł  
zwyczajnym, sobie właściwym sposobem t. j. ucierając nos we  
drzwiach i stawiając  
laskę w rogu izdebki, a spostrzegłszy Stasia zdziwiony  
zawołał.

— A to co ? ho dawno niewidzianego pana mego kochanego  
Stasiulka, — i

rozłożywszy obie ręce, uścisnął Stasia serdecznie.

I gdy się dowiedział o stanie serca Stasiowego, i zapytanym  
był od niego o ojca  
kochanki, wykrzyknął:

— Oho zmiarkowawszy, to już i po moich obiadach i po  
winie, a ja głupi im

nadzieję ciągle robiłem, he, he, he, no proszę ktoby się to spodziewał:

Ona tak miło i snadnie,

Przez oczy weszła do duszy,

Jak wietrzyk gdy w listki wpadnie. ....i zaczął nucić do Stasia w trakcie tego, ulubioną Te brzóz kilka piosnkę.

— Et co tam teraz śpiewać, mów no Acan o Majorze, — przerwała mu gniewnie

Ciocia.

— Znam Majora, dziwakiem go zowią i jest nim może trochę w istocie, ale przytem

zmiarkowawszy, to najpocziwszy w świecie człowiek.

Anusia ładny kasek, ho, bo,

a dobre to, potulne, cnotliwe, — i zaczął rozpowiadać różne katastrofy z życia

Majora, mieszając i swoje niby z niechcienia przygody,

których ciocia Scholastyka

już tak sytą była.

Odwiedziny te skończyły się zaproszeniem Cioci i pana

Kapitana na przyszłą

Niedzielę na obiad, na które pod tym tylko warunkiem

zgodziła się Ciocia, że

Staś będzie na mszy w kościele, na co Staś przystał.

— Niech go Bóg robaczka strzeże, zaczyna się już znać opamiętać, — robiąc znakkrzyża za odchodzącym Stasiem,

przemówiła Ciocia, i z weselszą niż zwykle miną

do swych zajęć wróciła.

Ztamąd Staś poszedł do Bartoszowego dworku, odwiedzić starego pocziwego

Walentego.

— Jak się masz Walenty? — pozdrowił on starego sługę, który robotą sieci był

zajęty, mrucał coś sam do siebie i głową pokręcał. Spojrzał siwemi swemi oczyma na Stasia i długo patrzył, znać oczom nie wierzył i powoli zaczął powstawać z miejsca, z niemalem na twarzy zdziwieniem.

— Cóż nie poznajesz mnie stary? — zapytał go przyjaźnie Staś.

— Te! — machnąwszy ręką, smutno odrzekł Walenty, — oj poznajęć ja i nie poznaję; bo się Panicz strasznie odmienił.

— I tyś się odmienił, coś wychudłeś, posmutniałeś, i cóż tu porabiasz?

— Co porabiam? — pochwycił prędkostary — siedzę sobie i myślę... o śnie strasznym com miał nocy dzisiejszej.

— I cóż ci się śniło?

— A śnił mi się nasz dwór, i ty Panicza się śniłeś, — mówił on drżącym i coraz bardziej wzruszonym głosem, — i zdawało mi się, że widział dziedziniec nasz, a był zarosły i opuszczony, droga do ganku po pas chwastami i pokrzywą zarosła, a we dworze pustki.... okna bez szyb, ściany bez tynku, jednym słowem, że stał pustkowie i pytałem się niby o ciebie Paniczu, o tę wesołą kompanię, co nie dawno tak szumniała, odpowiedzieli mi, że kredytorowie odarli cię Paniczu całkiem, zabrali wszystko, i ten stary dwór zniszczyli i jakem się obudził, to mi zaraz przyszło na myśl, że ten sen straszny może się i na jawie, — i nie mógł dokończyć tej dość trafnej i malowniczej improwizacyi i na głos się rozplakał.

Nie bez wzruszenia słuchał Staś tej improwizacyi i dodał.  
— O bądź spokojny, mój poczciwy stary, to snem tylko było,  
zaręczam ci, że na  
jawie tak źle nie będzie, — i wyszedł spiesznym krokiem z  
Bartoszewego dworku. VII.

Przenieśmy się do Ząbkowa, do ubocznego pokoju, gdzie  
Wojtasińscy i Kostusia,  
tajemniczą, lecz dobitną między sobą prowadzili rozmowę, po  
ostatnich Stasia  
odwiedzinach.

— Ja zaraz się domyślałam, — mówiła z gniewem,  
stłumionym a dobitnym głosem,  
machając rękami i chodząc po pokoju, panna Konstancya, —  
zaraz za jego drugimi  
czy trzeciemi odwiedzinami, że on Anusią był zajęty.

— No a cóż ten szelma Kapitan, któremu wina dajemy,  
zapewniał mnie, że on o  
Kostusi coś bardzo myśli, — odezwał się podobnymże co i  
córnia tonem, Wojtasiński, spoglądając na żonę.

— Boie mój, to gust dopiero! takie ciele jak ta Anusia, —  
wtrąciła ruszając  
ramionami Matka.

P. Konstancya. To prawdziwa trusia, kaczka, to niezgrabne,  
jakieś szlamazarne,  
potrzebnie ją tu było sprowadzać.

P. Wojlasiński. Któż wiedział, ja miałem w tym widoki, ale  
czy tylko dobrzeście  
o tem przekonane.

P. Konstancya. Jezus Marya, czyż to ja ślepa, oczów nie mam,  
czy co? a ostatnią  
razą com ich nadybala w ogrodzie, jakem się poszła  
przebierać, to tak sobie coś

szeptali z zajęciem, jak gdyby się już znali od Bóg wie jakiego czasu.

P. Wojtasiński A to dureń ten Kapitan.

Pani Wojtasińska. Kiedy tak to niech sobie jedzie, nie myślemy być swatami, nie

trzeba teraz na nią bardzo zważać. P. Wojtasiński. A to panie, ktoby się to był spodziewał, to też i ja zważałem

myślę sobie, nie bywał tak długo, a teraz co trzeci, czwarty dzień przyjeżdża,

tyło że ten dureń Kapitan ciągle mi nadzieję robił.

P. Konstancya. A uważała Mama, jak to się tają przed nami, jak niby mało mówią,

to hypokrytka taka pfe, nie cierpię kobiet fałszywych i t. d. i t. d.

I w czasie tej konferencyi, jakże odmienną była panna

Konstancya, od tej pełnej

pretensyi, którą w salonie zwykliśmy byli widzieć, z miłym na ustach uśmiechem,

ruchami pełnemi gracyi, cedzącej frazesa francuzkie; tu w tej poufnej rozmowie

zbrzydła, zmieniła się nie do poznania.

W kilka dni potem, według zwyczaju, Staś Ząbków odwiedził, zadziwił go na

wstępie ton z jakim go przyjęto, pani Gospodyni dziwnie ozięble, skinęła mu gło-

wą, panna Konstancya podobnież grzeczny lecz oziębły dyg zrobiła, Anusi nie

było.

Rozmowa toczyła się obojętna, lakonicznemi zdaniami co moment urywana, a gdy

Staś z niechcienia niby, zapytał o Anusię, gdzie jest i co robi, panna Konstancya

z kręceniem głowy, z uśmiechem ironicznym, dobitnie odpowiedziała.

— Panna Anna już pojechała do swego Gaiku, i zapewne ta wiadomość, jest dla

Pana wielkim zawodem:

Domyślił się Staś wszystkiego i roześmiał się w duszy, a ze mało dbał o tę

odmianę usposobienia mieszkańców Ząbkowa, względem siebie, po krótkiej więc

wizycie i oziębłych pożegnaniach, wyjechał.

Drogą wiodącą z Dębowej-wólki, do Gaiku, szczupłej Majora posiadłości, zwykłym

swym ekwipażem, jechał Staś z Ka-pitanem; a przez całą drogę Kapitan wyśpiewywał rozmaite stosowne do

okoliczności piosnki, opowiadał swoje miłosne z lat młodych awantury; Staś z

początku słuchał je z zajęciem i wesołym śmiechem wtórował konceptom

niezmordowanego pod tym względem Kapitana, lecz w miarę gdy się zbliżali,

oczywisty jakiś niepokój i bojaźń, malowały się w twarzy zakochanego.

Kilka chat tu i owdzie rozsianych, stodoły, owczarnia i skromny o jednym

kominie, kalenicą kryty dworek, składały tak nazwany Gaik, gdzie mieszkała droga

dla serca Stasia Anusia, i dziwny pod względem postępowania jej ojciec.

Zajechali tedy nasi podróżni przed skromny Majora dworek, lecz z zupełnie

odrębnymi celami i usposobieniami, bowiem Staś z mocno bijącym sercem, nadzieją

ujrzenia swej ukochanej, i z jakąś nieopisaną bojaźnią,  
Kapitan zaś z wiecznie  
wesołąminą, z nadzieją pokrzepienia sit anyżówką, której to,  
Gospodarz jak mu było  
wiadomo, pomimo swego dziwactwa, nie szczędził.  
Na ganku zastali gospodarza, siedzącego z fajką w ustach.  
Był to mężczyzna lat około , średniego wzrostu, twarzy  
mocno ogorzałej i  
ściąglej, siwymi faworytami i wąsami obrosłej, z wyrazem  
surowym na niej; oczy  
siwe, z pod siwych podobnie i nasuniętych gniewnie brwi,  
ostre rzucały  
spojrzenia, słowem, że na pierwszy rzut oka, nie wiele  
pociągającą była fizys  
gospodarza; na głowie miał niebieską czapeczkę włóczkową z  
perełkami, ubrany był  
w długą szaraczkową z potrzebami, kapotę.

— Niespodzianych gości zmiarkowawszy masz pan Major  
Dobrodziej, — wołał  
Kapitan, gdy wysiadali, a Gospodarz badawczem i serjo  
okiem, mierzył zmieszanego Stasia i bynajmniej się z miejsca  
nie ruszał — Jakże mi się pan kochany miewa,  
zdrów dobrze, kopę lat niewidziany, zmiarkowawszy, zawsze  
dobrze wygląda? — i  
uścisnął Gospodarza, który dopiero powstał, gdy się oba  
zbliżyli, i odrzekł niby  
zdziwiony.

— A to ty panie Kapitanie, jakże się masz? nie poznałem cię.  
— A tak to ja widać zmieniłem się, ale przedstawiam tu  
zmiarkowawszy panu  
Majorowi, sąsiada, pana Stanisława \*\*\* z Dębowej-wólki.  
— Bardzo mi miło poznać, — dość sucho, wyciągnawszy  
rękę do Stasia, odrzekł

gospodarz, — znałem pańskiego ojca, godny był człowiek! ale proszę, proszę panów moich do chaty.

Z sieni na lewo, weszli do niedużego o trzech oknach pokoju, w którym stały meble jesionowe, proste, z czerwonymi po-krowcami, gdzie stał fortepian i wisiały na ścianach rodzinne portrety, a obok prostoty w umeblowaniu, pewną drobnostkową staranność i porządek znać było.

— Proszę siadać moich Panów, — grzecznym lecz oziębłym tonem, zapraszał Gospodarz.

— Pan Major Dobrodziej zamiarkowawszy, — mówił ciągle wesoło Kapitan, siadając,

— to tu siedzi zamknięty jak w klasztorze, he, he, he, a przecież do

Dębowejwólki by zajrzał.

Staś z mocno bijącym sercem, siedział milczący.

— Do Dębowej-wólki? ho, ho, — odpowiedział gospodarz, — nie byłem, bom nie miał

naprzód przyjemności znać pana Stanisława, a choćbym go i znał, to i co po mnie,

kiedy ja się bawić nie lubię, a tam słyszałem huczno się bawia, wesoło Panie, —

i te ostatnie słowa wymawiał z przyciskiem. — He, he, tak, — odpowiedział Kapitan śmiejąc się i spoglądając na Stasia,

którego twarz mocno od tej alluzji zarumienioną była, — tak, tak, było tam

trochę i zabawy, zwyczajnie młodość, nieprawdaż panie Stanisławie, he, he,

karteczki, fajeczki.... he, he.

Z przymusem uśmiechnął się Staś.

A gospodarz nie zważając niby na to, zwróciwszy mowę na inny przedmiot, wyrzekł:

— Panowie z drogi, musicie być głodni, wprawdzie ja jako dziwak, nie

przygotowany jestem na przyjęcie gości, jednakże przyjmę czem będę mógł, — i

wyszedł do drugiego pokoju.

Trafił Gospodarz po myśli panu Kapitanowi, bo się ten ostatni po żywocie

poklepał, i wyrzekł: "oj burczy coś burczy, " potem zwracając się do Stasia,

który zupełnie zmiészany, siedział ciągle w miejscu. "Trochę dziwaczny, —

szeptał mu ciszej, — ale miny nie trać, zmiarkowawszy, ot pewnie twoja bogdanka zaraz się pokaże, co

tam! ja jagem był młody"..... tu przerwał mu te apostrofy, wracający Gospodarz.

— Zaraz Panom będę służyć czem chata bogata.

— Gdzież dostojna córeczka Majora Dobrodzieja się obraca, czy zdrowa i zawsze

ładna? widziałem ją u państwa Wojtasińskich, — zapytał Kapitan.

— Jest zajęta w ogródku, zaraz się tu Panom pokaże.

Stasiowi mocniej serce zabiło.

— Czy dawno jak wróciła z Ząbkowa Pani, panna Anna, — zapytał drżącym głosem

Staś, aby coś przecież raz zacząć mówić.

Przed tygodniem wróciła, — lakonicznie odpowiedział Gospodarz.

— Tak dobra, miia, ładna, zmiarkowawszy Mości Dobrodzieju, zawróciła nie

jednemu głowę z bywających młodzieżyw Ząbkowie, he, he, he, — i spojrzał na Stasia, który w tej chwili, radby był

dać sójkę w bok za ten koncept, Kapitanowi.

Szczeńciem ze rozmowa wkrótce inny obrót wzięła; Kapitan wpadł w sztos opowiadań myśliwskich.

W trakcie tego, w czasie z najdobitniejszą mimiką opowiadanych ciekawych przez Kapitana myśliwskich przygód, otworzyły się drzwi drugiego pokoju i weszła

Anusia; twarz jej była bledszą jak zazwyczaj, a smutek jakiś rozlany na niej i w

oczach dawniej żywych i wesołych, dodawały wszakże jeszcze więcej powabu tej anielskiej istocie.

Powstali goście za jej ukazaniem się, Kapitan pośpieszył z ucałowaniem rączki i

komplementem: "z każdym dniem jak mi Bóg miły, nowych pani zmiarkowawszy powabów przybywa." Staś tylko biedny, jeszcze bardziej jej widokiem zmiészany, stał i patrzył, nie wiedząc w którą się ma obrócić stronę.

Jakże piękną wydała mu się Anusia teraz, po tygodniowym niewidzeniu się, jakieby

pragnął teraz, przycisnąć jej białą rączkę do swego łona, i tysiącznemi ją

obsypać pocałunkami; niestety oczy, te surowe oczy Majora, wszelką mu odbierały energję i przykuwały do miejsca.

Odważył się wreszcie i zbliżywszy się do Anusi, która podobnież wzruszona, z

robótką w ręku usiadła przy oknie, drżącym głosem zapytał.

— Pani tu już dawno?

— Od tygodnia prawie, — niepodnosząc główki, wzruszonym podobnież odpowiedziała

głosem.

I po tej odpowiedzi nastąpiło milczenie.

— Pani teraz zajęta byłaś w ogródku? — zaczął znowu Staś.

— Tak, lubię tego rodzaju pracę. I znowu milczenie. Słowem, że nie kleiła się rozmowa naszym kochankom, zanadto byli swym widokiem

wzruszeni, zanadto na Stasiu działały Argusowe Majora oczy.

Anusia była ciągle

smutną i bledszą jak zazwyczaj.

Niezmordowany tylko Kapitan, z wzrastającym co chwila zapalem, predykował przed

Majorem z giestami, o ulubionem myśliwstwie, dopiero sztos jego opowiadań,

przerwały wniesione przez czystą i świeżą dziewoję wiejską, przekąski, z ogromną

flaszką anyżówki, którą przyjaznem powitał okiem Kapitan, a jeszcze

przyjaźniejszym potężnym haustem uświęcił.

Staś nic prawie nie jadł, Gospodarz zapraszał go uprzejmie, lecz zawsze z pewnym

suchym, a nawet ironicznym tonem, i surowem ciągle, gdy stał przy Anusi,

spoglądał na niego okiem.

Biedny Staś cierpiał tortury.

Z pierwszą wizytą nie wypadało długo siedzieć, i Staś nawet jakkolwiek sercem przy swej lubej zostawał, rad był ciałem

dzisiaj chociaż tylko, znajdować się

już jak najprędzej w domu; jakoż po przekąsce, po skończeniu opowiadań Kapitana,

nastąpiły pożegnania.

Major zatrzymać ich chciał koniecznie na obiad, Kapitan

byłby moje na te

zaprosiny przystał, gdyby nie Staś biedny, który koniecznie należał do wyjazdu.

Pożegnawszy się z udaną naturalnie obojętnością kochankowie t. j. skłoniwszy się grzecznie, Staś a raczej Kapitan, przy pożegnaniu z Majorem, prosili go o odwiedzenie Dębowej-wólki.

— A po cóż ja tam pojedę, bawić się w karty i pić nie lubię i nie mogę, więc żadnej byście ze mnie pociechy nie mieli, — z ironją mówił gospodarz.

Dobiły Stasia te nie bez celu wymówione ostatnie słowa Majora, i smutny, wzruszony, nie kontent z siebie, odjechał z Kapitanem do Dębowej-wólki. My się tymczasem dowiedzmy, co było powodem smutku Anusi i bladości niezwykłej jej twarzy.

A oto w miarę coraz częstszych Stasia odwiedzin w Ząbkowie, wzrastały podejrzenia panny Konstancyi, która uszczypliwymi alluzjami już Anusię prześladować zaczęła, a po przedostatnich Stasia odwiedzinach, po których pamiętna konferencyą miała miejsce, gdy już pozory żadnej nie ulegały wątpliwości, gdy panna Konstancja z dziwnym ze drwinkami i z kręceniem głowy, zaczęła do niej przemawiać tonem, pani Gospodyni minę drwiącą i obrażoną dla niej przybrała, pan Wojtasiński patrzył na nią z ukosa i spluwał, poznała biedna Anusia, że czyste jej serca uczucie dla Stasia, którego panna Konstancya

gwałtem oczarować chciała, odkrytem zostało.

I rozumie się, że wkrótce po oziębłych ze strony Gospodarzy pożegnaniach, odjechała do Gaiku, zamilczając wszakże o tem wszystkim, przed ojcem.

Jednakże pan Major nie długo po jej powrocie do domu, udając się pewnego dnia na odpust do wioski poblizkiej, gdzie go jedynie pobożność wiodła, spotkał na drodze, jadącego bryczką parokonną, Wojtasińskiego. Zatrzymał się Major w celu podziękowania kuzynowi, za łaskawe pozwolenie na pobyt córki w jego domu, gdy Wójtasiński z oczywistą niechęcią kazawszy stanąć,

z dziwnym, ironicznym tonem, wykrzykiwać zaczął:

— Winszuję, winszuję Majorze, masz konkurenta dla córki, a gracki panie chłopak, niezłą ma fortunę!...

— Nie rozumiem tego!...

— Chyba udajesz ze nie wiesz o niczem, a tenże Staś z Dębowej-wólki, tak się rozamorował w twej córce, że żyć, przez niej nie moje. — Żartujesz chyba.

— A jak Boga kocham, a to dziwnie że ci córka tego nie mówiła, — i z oczywistą niechęcią, skłoniwszy się oziębło, odjechał, zanim Major mógł się o dalsze wypytać szczegóły.

Powróciwszy do domu, zawołał Anusię, która w ogródku jak zwykle zajęta była, a zawołał ją zwyczajnem: "chodź no tu do mnie Asińdzka." Anusia ucałowała rękę ojca z uszanowaniem i miłością.

— Spotkałem Wojtasińskiego, coś mi plótl, czego rozumieć nie mogłem, winszował dla Asińdzki konkurenta, jakiś widocznie zagniewany, coś to jest, dla czego mi Asińdzka nic o tem nie mówisz? — i wlepił w nią badawcze spojrzenie.

— Daruj Papciu, zem ci tego jeszcze nie wyjawiała, — mówiła Anusia zapłoniwszy się i całując rękę ojca. — Wojtasińscy i Kostusia są mocno na mnie zagniewani, a to z powodu, że pan pan Stanisław \*\*\* którego Kostusia widocznie oczarować chciała, bywając w Ząbkowic... nie dość był Kostusia zajęty... rozmowy jego ze mną, obudziły w nich podejrzenia... i widząc ze niechętnem na mnie patrzą okiem, napisałam do ciebie kochany Papcin, abyś konie przysłał po mnie....

— I Asińdzka tym panem Stanisławem pewnie masz głowę nabitą co, he? powiedz zaraz szczerze?

Dziewczę w odpowiedzi, żywszym oblało się rumieńcem, oczki w dół spuściła i pierś silniejszym podniosła się westchnieniem.

— Oho, — dodał po chwili, — już i po. Asińdze, widzę że masz nim głowę zupełnie przewróconą, a więc przyjmij radę ojca; na nic się te affektacye wasze nie zdały, darmo sobie niemi nie zaprzataj głowy, oświadczam Asińdze jak najsolennie, że nigdybym nie pozwolił, żebyś Asińdzka, temu Stanisławowi swój los miała powierzać, to utracysz, birbant, zepsuty, zresztą jeżeliś pewna, że on tak mocno

jest tobą rozmiłowany, to wierzaj mi, że nie na długo, u takich ludzi miłość bardzo prędko się zmienia, a więc idź do swej komnatki, wypłacz się przed obrazem Matki Boskiej i zapomnij o nim... jeżeli tu zechce bywać, niech bywa, z domu go przecież jako gościa wypraszać nie będę, lecz jeszcze raz powtarzam, że na żadne aljanse z nim nie pozwolę.

I wyszedł spieszonym krokiem nieubłagany ojciec, Anusia stała na miejscu i rzewnymi zalała się łzami, a niestety знаła aż nadto ojca, że jego słowa nie były na wiatr rzucanemi; długo więc potem klęczała przed Matki Boskiej obrazem i płakała, lecz zapomnieć o nim? czyliż to było w jej możliwości? Około godziny -ej po popołudniu, we dworku Majora, w bawialnym pokoju, nagłówniej kanapie, siedziała wyświeżona i wystrojona ciocia Scholastyka, z ogromną torbą od gości na ręku, przy niej z fajką w ustach, ponury jak zwyczajnie Major; przez okna widać było stojący ekwipaz Cioci, t. j. żółtą na ressorach karjolkę parokonną i zgarbionego Hryćka, w ceglastej sukmanie i czapce baraniej.

Po dość długiej rozmowie o pogodzie i wspomnieniach dawnych, Ciocia Scholastyka uważała, że czas było nieznacznie i powoli, przystąpić do celu powierzzonej sobie missyi.

— Mój Boże taka dawna między nami znajomość, cożem chciała powiedzieć i Acan Dobrodziej ciągle jak pustelnik tu siedzisz.

— Moja Mościa Dobrodziko, nie nazywali by mnie inaczej dziwakiem.

— A Anulka kochane dziewczątko, musi być już duża, ostatnią razą com ją widziała, to ot tyłka była, jeszcze się z lalką bawiła, cozem chciała

powiedzieć, a takwszyscy ją chwalą, że taka dobra, ładna gdzież jest duszka ?

— W ogródku zapewne, — odpowiedział lakonicznie gospodarz.

— A ja sama znam, — mówiła nieco ciszej Ciocia, — tych co już im głowy pozawracała.

— Ona? chyba sobie żartujesz moja Mościa Dobrodziko, nie wiem czy ona komu zawrócić głowę potrafi, mało szczebioce po francuzku, min różnych nie stroi, nie grywa szumnych warjacyi na fortepianie, tylko stare jakieś mazury.

— Acan Dobrodziej żartujesz sobie, — mówiła z uśmiechem Ciocia, — tak to jest w istocie, taki przesąd u naszej terażniejszej młodzieży, bardziej teraz patrzą na powierzchowną ogładę, jak na serce, na dusze, ale ja mam taki jednego cóżem chciała powiedzieć, — i konfidencyjnalnie dodała ciszej, — panie Majorze znamy się dawno, po co w bawełnę obwijać, oto przy-znam się Acanu Dobr. że mój wychowanec, kochany Stasieczek, tak się cóżem chciała powiedzieć rozamorował, ze....

— Wiem o tem Mościa Dobrodziko, i wiem także na nieszczęście, ze i Anusia głowę

ma nim zaprzątniętą, lecz kiedy szczerze mówić mamy, to z żalem wyznać muszę, że próżne ich są affektacye, bo nigdybym nie zezwolił na alians Anusi z panem Stanisławem.

— Jezus Marya a toż czemu? — trochę z oburzeniem zawołała Ciocia, której suche policzki od tej rozmowy mocno się zarumieniły.

— Bo życie jego o którym mię wieści dochodzą, nie jest zbyt chwalebne.

— Prawda że się wdał w tę kompanię z Aniszewskim, ale on nie jest zepsuty, jak mi Bóg miły, tak to dobre jest dziecko.

— Jakże Mościa Dobr.. wiedzieć możesz, że nie jest zepsutym, młody człowiek gdywejdzie raz w złe towarzystwo, świętym z niego pewno nie wyjdzie.

— Ale bo trza znać Acanu Dobr. Stasieczka, jak poznał Anulkę, Dali Bóg ze poprawił się zaraz, on ją tak kocha!

— Poprawił się, ho, ho, a na długo? nie wierz temu Jejmość Dobr.

W ową chwilę wszedł do pokoju parobek, prosząc Jegomości do stodoły.

— Przepraszam Jejmość Dobr. ale muszę koniecznie pójść na chwilkę, bo to pańskie oko konia tuczy, Anusia! — zawołał głośnie, otwierając drzwi do drugiego pokoju, — pójdz tu Asińdzka, baw Panią, spytaj, może co pozwoli z posiłku.

— Dziękuję Acanu Dobr. — trochę obrażona odpowiedziała Ciocia, i gdy Gospodarz

wyszedł, Anusia jeszcze bledsza jak była, ze świeżo  
zwilżonem od łez okiem,  
przywitała Ciocię, która ją tysiącznemi obsypywała  
pocałunkami, głaskała pod  
brodę wykrzykując: — a jakież to wyro-sio, wyładniało, mój  
gołąbeczek! Stasieczek dobry ma gust cożem chciała  
powiedzieć, a cóż to oczki masz zapłakane duszyczko?  
— Pani, — odezwała się z płaczem dziewczyna, — twój  
wiek, twoja poczciwość  
malująca się w twarzy, nadają mi śmiałości do ciebie i ufności  
więcej,  
aniżelibym powinna nie widząc cię od tak dawna, znając  
bardzo mało; powiedz mi  
powiedz, czy on istotnie tak jest złym, zepsutym, jak Papcio  
jest o nim  
uprzedzony?  
— Kochanie moje drogie, cyt, cyt, cożem chciała powiedzieć,  
nie płacz tyło, bo  
cię główka zaboli. Staś nie jest tak zepsuty, jak Major o nim  
sądzi, mówiłam tu  
zniechcenia o nim i o tobie, et gdzie, nie chce słyszeć.  
— Słyszałam całą rozmowę, droga pani. — On cię bardzo  
kocha ten kochany  
Stasieczek, zdekoncertowany tyło nieborak suchem  
przyjęciem twego ojca, i dla  
tegotaki strasznie nic śmiały, ale cyt, cytże duszko, strasznie  
się widzę w sobie  
rozmiłowali, — i tuliła ciągle płaczącą Anusię, a gdy ujrzały  
powracającego  
Majora od stodół, Anusia otarła oczy i usiadła do roboty,  
schylając główkę dla  
ukrycia świeżych łez śladów.

Rozmawiano jeszcze o rzeczach potocznych, wreszcie Ciocia trochę rozzalona na Majora, wyjechała. Po kilkogodzinnej jeździe, na którą narzekała Ciocia, i ciągłymi do Hrycia apostrofami przerywając monotoność podróży: "a patrzaj się przed siebie ono zawsze, a po korzeniach cożem chciała powiedzieć nie jedź, bo ja nie żelazna" przed wieczorem, stanęła w swym dworku; zastała w nim niecierpliwie na nią oczekującego Stasia, ciekawego skutku tej missyi, której tylko dla ukochanego Stasieczka, mogła się była podjąć Ciocia. — No coż droga Ciotuniu ? — pytał Staś pomagając jej wysiadać. — Zaraz, zaraz duszko... a Hrycio niechaj karjolkę zatoczy... cożem chciała powiedzieć widzisz! — wchodząc do izby mówiła do ciekawego Stasia, — widzisz!... a Kachna pójdź-eno-tu, weź jeno salopę.... mówiłam z nim cożem chciała powiedzieć o tobie.... a prędeżyże, ogłuchła czy co, Jezus Marya! Staś umierał z niecierpliwości. Nadeszła Kachna, rozebrała z podróżnych ubiorów Panią, która usiadłszy na kanapie, dysząc od zmęczenia, zaczęła swobodniej mówić: — Mówiłam mu, otóż o tobie strasznie źle jest uprzedzony, widzisz duszko, te kompanje com to gadała.... te hulanki, to się roztrąbiło po świecie.... — Więc cóż mówił?

— Z niechcienia em mu wspomniała, że kochasz Anusię, tam  
cóż.... a on jakby  
przeczuł do czego zmierzam, "o co z tego, powiada, nic nie  
będzie! bo życie jego jest naganne, " perswadowałam jak  
mogłam, Anulka biedna słyszała wszystko i płakała przy  
mnie, ona cię strasznie  
kocha!

Staś pobladł, załamał ręce smutno: "więc on tak o mnie źle  
uprzedzony.... ona  
mnie tak kocha!...

— Ciotuniu! — nagle jakby przebudzony, z uczuciem  
podnosząc rękę do góry,  
przemówił, — przysięgam Cioci, że jeśli jej posiadać nie  
będę, rozpaczą  
powodowany, porzucę was, porzucę dwór ojcowski, i pojedę  
daleko, za granicę,  
gdzie mnie oczy poniosą, i na zawsze was pożegnam!

— Wszelki duch Pana Boga chwali, — zakrzyknęła Ciocia,  
a Staś z  
rozpłomioną twarzą, wybiegł spiesźnie ze dworku.  
To ostatnie wyrażenie się Stasia, silne na Cioci uczyniło  
wrażenie; po jego  
odejściu siedziała jeszcze jakiś czas i dumiała, a kiwnięcie  
niekiedy głową,  
machnięciem ręką, świadczyły, że tajemną z sobą prowadziła  
rozmowę, a po chwili dobitne  
stukanie palcem o stół, jak gdyby dla okazania, że na swoim  
postawić musi,  
zakończyło tę walkę myśli; jakoż istotnie zdeliberowawszy, że  
Staś rozpaczą  
powodowany, zejść moje bezpowrotnie zdrogi poprawy, którą  
już skutkiem miłości

postępować zaczął, zdecydowała stanowczo, żeby tam nie  
wiem co, połączyć Stasia  
z Anusią. VIII.

W znajomej nam sali dworu Dębowej-wólki, zebranem było  
pewnego dnia po południu  
towarzystwo:

Przy głównym stole przed kanapą, siedział Major ze zwykłą  
miną obojętną i

surową, trzymając w ustach ulubioną na krótkim cybuchu  
fajkę, przy nim z piórem

w rękę, gotujący się do pisania Kapitan, dalej ciocia

Scholastyka z wyrazem

tryumfu i radości, malującym się w jej oczach i

zarumienionych policzkach, za

jej krzesłem stał Staś, z założonemi na krzyż rękoma, przy  
drzwiach stała reszta

naszych starych sług to jest: Walenty, Bartoszi pani

Adamowa, szeptaając między sobą i machając dobitnie rękami;

Bartosz za

każdym głośniejszym syknięciem lub zaszepelenieniem

Walentego, lub pani Adamowej,

dobitnem cyt! cyt! upominał do milczenia.

Wszyscy widocznie byli w oczekiwaniu jakiejś ciekawej  
sprawy:

— A więc pisz Kapitanie co ci podyktuję, — ozwał się Major  
i wszystkich oczy z

uwagą zwróciły się na niego. — Pan Stanisław nie weźmie mi  
tego za złe, bo

jakkolwiek ufam jego słowu, jednakże verba volant scripta  
manent, z resztą ja

dziwak jestem, to trudno.

— Co tam to tyło forma, nie zważaj na to panie Stanisławie, honorowysz przecie człowiek, wiemy, to aż nadto, co tam, ja jagem był młody to tez....

— Et! ot pisz Acan, co tam teraz wspominać, — przerwała mu uciszonym głosem

Ciocia. — A więc pisz Pan, — ciągnął dalej Major.

Głuche znów nastąpiło milczenie i uwaga wszystkich natężoną była na Majora, który tak zaczął dyktować.

"Na połączenie małżeństwem, pana Stanisława \*\*\* z panną Anną Wolecką, zezwala jej ojciec, pod warunkami następującymi:

"Primo: ze ślub odbędzie się.... nie prędzej.... jak od dziś dnia za rok....

— Tak długo! — z przykrem zdziwieniem, zawołał cicho Staś, stojący za krzesłem Cioci i zrobił niecierpliwe poruszenie.

— Cyt, cyt, to nic, — odpowiedziała mu cicho Ciocia. Słudzy kiwali głowami i zaczęli szeptać.

— Ależ mój Mości Dobr. zmiarkowawszy to za daleki zdaje mi się termin, —

przystając pisać ozwał się Kapitan, — Trudno, trudno, — przerwał mu nieubłagany Major, — dziwak ze mnie, jednakże tego nie cofnę.... pisz Pan dalej....

"i ze przez ten czas, panu Stanisławowi wolno będzie tylko dwa razy na miesiąc

być w Gaiku, dla odwiedzenia swej narzeczonej.

Znów oznaki przykrego zdziwienia Stasia i szemranie starych.

— Ależ to niepodobna, — przystając pisać rzekł znów Kapitan, — Major Dobrodziej na zanadto wielkie próby kochanków narażasz.

— To trudno mój Dobr. na fundamencie to robię, zresztą to moje dziwactwo....

"Secundo. Pan Stanisław zerwie zupełnie stosunki z panem Aniszewski i jego

kompanją... zupełnie, podkreślić.

Oto to! ozwało się kilka stłumionych starych głosów.

— Cyt! — przerwał Bartosz. "Tertio. Pan Stanisław będzie bywał co Niedziela i święto na mszy, i tak jak dawniej pacierz odmawiał, na co oprócz danego słowa ustnie, własnoręcznie się

niżej podpisze. " finis.  
Gdy Kapitan skończył pisać, Major wziął papier, powiódł po nim oczyma, — rzekł

biorąc od Kapitana pióro i podając je a teraz, — Stasiowi,  
"teraz się Asindzi

podpisz.

Skwaszony i nieukontentowany Staś, z pewnem oburzeniem podpisał.

— A teraz, — mówił dalej Major, — wszyscy Wasaństwo jak tu jesteście, jako

świadkowie podpiszcie się.

Z kolei więc, ciocia Scholastyka drżącą swą ręką,

nagryzmoliła bez wahania swoje

nazwisko, potem Kapitan, wreszcie starzy stojący przy

drzwiach; każdy jak umiał

stawiał kulasy, i każdy z powagą i uroczystą miną,

przystępował do podpisu.

Gdy wszyscy podpisali, z zimną krwią wziął Major papier, złożył go i schował do kieszeni.

— Ależ panie Majorze Dobr. — zaczął Kapitan.

— Mnie się zdaje, cożem chciała powiedzieć....

— Nic, nic... już skończone, słowa nie cofam, i bywajcie mi Asaństwo zdrowi, bo

mi śpieszno do domu i tak długom tu gawędził.

I nieubłagany Major, niczem się nie dał zmiękczyć, uprosić,  
do złagodzenia

pierwszego szczególnie warunku i odjechał.

— Dziwak, dziwak już to prawda, — mówił Kapitan za  
odjeżdżającym.

— To i tak jeszcze dobrze, że i na tem się skończyło cożem  
chciała powiedzieć,

ledwieśmy go i tak nakłonili.

Bo trzeba wiedzieć ze ciocia Scholastyka postanowiwszy żeby  
tam nie idem co,

połączyć Stasia z Anusia, wiele podróży odbyć musiała do  
Gaiku, użyć całej swejelokwencji wraz z Kapitanem, nim  
zdołali nakłonić dziwnego i upartego Majora;

winszowała jednak sobie Ciocia, że ona głównie była  
sprawczynią, mającego

nastąpić związku, a warunki te, nawet i pierwszy aczkolwiek  
tak surowy nie

uważała w swem przekonaniu za dziwactwo, ale owszem,  
cieszyła się niemi

potajemnie. Kapitan tylko nie mógł darować Majorowi,  
odłożenia na czas tak długi

szluby i po odjeździe Majora, pocieszał Stasia; "pojadę, —  
mówił, — pojadę, jak

mi Bóg miły do Gaiku, i uproszę, a gdzież to słychane rzeczy,  
coś podobnego

proponować."

— Wątpię, cożem chciała powiedzieć, czy Acan co wskórasz,  
Major strasznie

uparty, a potem ten rok to i przeleci nie wiedzieć kiedy.

I istotnie próżne były prośby Kapitana, nie ubłagany Major,  
ani na jotę ustąpić

nie chciał od warunków podpisanych i wróciwszy z niczem  
Kapitan, rzekł: "trudno  
się serem przebić, jeszcze miętym do tego panie Stanisławie,  
uparty szelma jak  
koziół.

Nie potrzeba wam opisywać, czy Staś dotrzymał warunków  
przez dziwnego podanych  
Majora, gdy wiecie, że w gruncie nie był jeszcze zepsutym, i  
gdy tak wielką była  
jego miłość dla Anusi.

Przykrem było dla kochanków odłożenie szluby aż do roku,  
przykrem ich rzadkie  
widywanie się, lecz za to, jakże drogo cenili chwile spędzane  
razem, jak  
szczęśliwi byli wówczas, jak niecierpliwie wyglądali ich  
nadejścia!

A Rezydenci nasi poczciwi cieszyli się w duchu, gdy dwór  
znów spokojny, dawny  
swój przybrał porządek, gdy Walenty wrócił do swego  
kredensu i "precz mi ztąd"  
wyprosił uliberjowanych sługusów, którzy aż do kuchni przed  
nim rejterować  
musieli. Pani Adamowa jakby na odpoczynek, częściej swym  
dyszkantem w światowych  
pie-śniach, szła w zawody ze szczygłami w garderobie;  
Bartoszowi dawna wróciła  
energja i sprężystość w gospodarce; Ciocia Scholastyka aż  
odmłodniała; Kapitan  
rad był, że znów we dworze może bywać i polować czasem ze  
Stasiem; słowem  
wesołość i zabawy jak dawniej, w białych powróciły  
dworkach, we dworze  
spokojność i porządek dawny, i obiady niedzielne jak dawniej.

Jakże leniwo ciągnął się dla kochanków ów rok próby; rok ten dla nich wydawał się wiekiem, jakże niecierpliwie liczyli oni miesiące, potem tygodnie, w reszcie dnie, które ich zbliżały do chwili szczęścia, chwili ich połączenia się na wieki.

Nieubłagany Major, ani o jeden dzień nie chciał przyśpieszyć szlubu, i wesele punktualnie odbyło się w dniu wyrażonym w kontrakcie, jeżeli tak zechcemy owe nazywać warunki.

A wesele to odbyło się skromnie, wedworku kalenicą krytym w Gaiku, w gronie kilku poufalszych przyjaciół i naszych sług i Rezydentów.

Państwo Wojtasińscy jako krewni, proszeni od Majora listownie na tę uroczystość, nie pojawili się, bowiem śmiertelną od owego czasu do Majora czuli urazę, i jak się Jegomość wyrażał stukając pięścią w stół: "szelma jezdem, jeżeli mu to do śmierci daruję." Panna Konstancja podobno najwięcej zawziętą była na Anusię, bo obok tego, że jej ta ostatnia, tak korzystnego odebrała konkurenta, jeszcze dręczyła ją zazdrość, że Anusia jakkolwiek daleko od niej młodsza i nieporównanie brzydsza, prędzej od panny Konstancyi za męża wychodziła, gdy tu niestety nikt się coś nie pojawiał a latka płynęły....

Zabawa szczerą, nie wymuszona, serdeczną, przeciągnęła się aż do rana dnia

następnego; państwo młodzi koło południa mieli zjechać do Dębowej-wólki, starzy więc nasi, oprócz Kapitana, w nocy jeszcze wyjechali z wesela, dla poczynienia przygotowań na przyjęcie nowożeńców. Kapitan zaś który takie zamierzał razem z nimi wyjechać, tak się uraczył winem, którego profuzja była wielka, ze dopiero nad ranem, kiwając się na swym wózku, i wrzeszcząc ochrypłym głosem:

"Wiek się schyla do wieczora,  
Już ja nic ten com byt wczora. "

i drzemiąc na przemiany, powrócił przecież do Dębowej-wólki.

A we dworze ruch był wielki; poczciwi starzy przygotowywali, łajali, krzatali się, i gdy się zbliżała godzina przyjazdu Państwa młodych, Ciocia Scholastyka głównie dowodząca przygotowaniem i przyjęciem, uważając za stosowne, aby wszyscy domowi razem, na ganku Państwa młodych przy wjeździe przyjęli, a nie widząc Kapitana, wysłała czempredzej na białe dworki po niego; posłaniec wrócił z, od-powiedzią, ze: "nie można go się dobudzić, i ze tak chrapie, co niech ręka Boska broni."

— Oho, to się już i uciał, cożem chciała powiedzieć, w taki ważny dzień zęby się tez spić! a trza go taki koniecznie obudzić, — i znów wysłała po Kapitana.

Obudzony, nie wytrzeźwiony jednak zupełnie, śpiewając  
Czegoś oczki zapłakała?  
przybył Kapitan w samą porę na ganek, bo właśnie Państwo  
młodzi na dziedziniec  
wjeżdżali.

A na ganku stała Ciocia z solą i chlebem na tacy, i Kapitan  
wesoły, i całe grono  
sług starych.

Wysiadła młoda i szczęśliwa para z weselnej karety, a Staś  
wskazując swej żonie,  
to grono starców, rzekł wzruszony:

— Anusiu droga, oto są nasi przyjaciele, ja im wiele winien  
jestem, kochajmy  
ich i szanujmy tak jak na to zasługują, — i nastąpiły potem  
błogosławieństwa i  
uściski, a łzy rozrzewnienia i szczęścia zabłysły zarówno, tak  
w młodej parze,  
jako i zeschłych i wpadłych oczach, sług i Rezydentów.

KONIEC.